

ŁÓDZKI

WEEKEND

odpoczynku

TYGODNIK ŁÓDZKI

nr 23

Rok I. Łódź, 3 sierpnia 1958 r. Cena 1 zł

albo niedziela w Łagiewnikach



Jedni mówią „Łagiewniki“, inni — „Arturówek“. Choć są to dwie różne miejscowości odległe od siebie o blisko 2 kilometry, chodzi o jedno — o lasy zajmujące północno-wschodnią część naszego miasta, rozciągnięte na obszarze około 25 kilometrów kwadratowych.

W niedzielne pogodne dni, już nie wloką się — jak to było w cytowanym na wstępie wierszu Tuwima — ale jadą zatłoczonymi tramwajami do lasów łagiewnickich całej rodziny. Wiozą teczki, przeróżnego rodzaju torby z całodziennym wiktem, zwinięte koce, pełne butelki, niemalże kuchnie i garnki.

Miasto pustoszeje.

Wisząc na stopniach „ósemki“ dojeżdżamy do mostu. Droga skręcającą w lewo można dojść do stawów. Albo dojechać furmanką — za jedyne 2 złote od osoby. Furmanki również przepelnione. Większość ludzi decyduje się na mozolny spacer.

Jeden ze stawów służy wyłącznie jako kąpielisko. Od kilku lat uregulowany, opatrzony kilkoma ratownikami — zapewnia w miarę bezpieczną kąpiel.

Na drugim — mniejszym — znajduje się wypożyczalnia sprzętu sportowego Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Handlu Artykułami Użytków Kulturalnych(?) Słone ceny. Godzinna przejażdżka prototypem pedalexu kosztuje 20 złotych, kajakiem — 10. A jednak przed kasą długa kolejka. Szczególnie dużo chętnych na wodny rower i pedalex. Każdy chce poprobować nowego wynalazku, w którym wiosłuje się nogami. Zresztą — nie ma wyboru.

Po drugiej stronie wędkarze. Ryby nie biorą. Wędkarze klócą się z przepływającymi na pedalexach ludźmi, którzy je płoszą. Przypatrzywszy i przysłuchawszy się temu sporowi grupka ludzi. Cóż, to też rozrywka...

Wokół stawów, w promieniu kilkuset metrów, rozłożone koce — jeden tuż obok drugiego, ciasno, mimo że w głębi rozległy las świecił pustkami. Każdy woli bliżej stawu. Ciągnie od nich przyjeźdźcy chłodek, a ponadto bliżej do

tramwaju. Tak, komunikacja też ma wpływ na wybór „obozowiska“. Na kocach leżą młode dziewczęta w zgrabnych kostiumach kąpielowych, czterdziestoletnie kobiety w halkach opalające tłuste ramiona i zdeformowane uda. Na kocach gra się w karty, popija „czystą“, rabarbar i przesłodzoną herbatę. Jakże tu nie wspomnieć o jaskach na twardo, symbolizujących niejako posiłek wycieczkowiczów, o brzdąkającym gdzieś gdzie sentymentalnie gitarzyscie, którego nie zagłuszają również z rzadka odzywające się dźwięki „serduszka w rytmie cha-cha“. Ogólny klimat wycieczek nie zmienił się co najmniej od 50 lat.

Zmieniły się tylko potrzeby wynikające z nowych możliwości. Lasy łagiewnickie były niegdyś własnością barona Heinza. Zanurzenie się w ich chłód było przywilejem wybranych. Łagiewniki jako zjawisko masowe wystąpiły dopiero po wojnie, a wraz z tym — problem zaopatrzenia.

Choćby nie wiem ile wycieczkowiec zabierali z sobą jedzenia i picia nigdy im tego nie wystarczy. Przyjeżdżające czasem samochody PSS opróżniane są w przeciągu kilku minut. Kwitnie więc prywatna inicjatywa. Ceny zgrabnie wygórowane — z wnikliwym rozpatrzeniem popytu i podaży. Sprzedaje się co się da. Nawet nieprzepracowaną wodę lekko zabarwioną sokiem po zlotówce za szklanke.

Dwa razy do roku odbywają się w Łagiewnikach uroczystości kościelne o charakterze rozrywkowym — odpusty. Jak bardzo ludzie wyjeżdżający za miasto spragnieni są rozrywki, świadczy tłumy ścigające na te imprezy. Bawią się tłumy znakomicie. Tradycyjna karuzela, kramarze, loteryjki, próby zręczności, ujawniano nawet ruletkę.

Nad wszystkim patronuje klasztor o. o. Franciszkanów. O jego przedsiębiorczości mówią zapiski w starych księgach klasztornych. Bo już w XVIII wieku wslawił się w bojach z czarłami. W roku 1720 niejakiego Józefa Chodyńskiego ze Skłerniewic aż od dziewięciu czarłami uwolniono.

(Dokończenie na str. 2)

Tekst
TADEUSZ ŻAKOWIECKI
Zdjęcia
LEON OLEJNICZAK



ŁÓDZKI WEEKEND

(Dokończenie ze str. 1)

Dzisiaj klasztor zaniechał tych walk, a zajął się rozwijaniem „życia kulturalnego”, ojciec Bolesław Wolski prowadzi teatr. Wystawia sztuki nie tylko o treści religijnej.

Może to decyduje o większej frekwencji? Dysponuje salą na około 450 miejsc i aktorami mającymi trudności z czytaniem. Pożycza rekwizyty nawet z Teatru Jaracza. Częstotliwość wystawiania tych sztuk — w zależności od potrzeb.

O! teraz na przykład jest remont kościoła...
Ojciec Bolesław mówi z zadowoleniem o swych sukcesach, byli u niego z PAX-u, doczekał się nawet „recenzji”, w którymś z dzienników katolickich. My, niestety, nie możemy powiedzieć, na ile te przedstawienia były fajerek, bo żadnego nie mieliśmy okazji obejrzeć.

W Łaglewnikach zachodzi słońce. Ludzie wychodzą z teatru ojca Bolesława. Kramarze z odpustu sprzedają ostatnie obwarzanki, składają loteryjki...

Ludzie w lesie strzepują koco. Kurz! Na stawie ktoś sobie podpiał i nie chce wrócić z kajakiem do brzegu. Wyruszają po niego ci z obsługi...

Las pustoszeje, odkrywając swoje własności oczyszczające. W Łaglewnikach osadził się brud w jak najszerzym tego pojęcia znaczeniu.

Zostają stopy papieru, skórki od kiełbasy, skorupki od jajek, a puste butelki zbierają chłopcy, aby je sprzedać nazajutrz w mieście.

Baczny obserwator dostrzeże w bardziej cieniistych miejscach wyczekujących zupełnej ciemności zakochanych, albo zgola młode małżeństwa nie posiadające wspólnego mieszkania...

Zapewne w tej chwili w „brzezince” — gęstym niewyrośniętym jeszcze lasku, szczególnie ulubionym przez samobójców miejscu — jakiś desperat zakłada sznur na szyję...

Masa ludzi ciągnie do domu. Weiska się do tramwajów, oblepia je z zewnątrz.

A w Łaglewnikach rozgrywa się ciąg dalszy. Nocą pod osłoną drzew — nie nie widać. Znanie są tylko wyniki. Rzeszy trzeba się domyślać. Nad ranem do Komendy MO przybywa człowiek w białym, po pijanemu rozebrany przez kobiety, z którymi odbywała się wczorajem „uczta”. Przychodzi inny człowiek, którego napadnięto i obrabowano...

Pocięcha dla zwykłych ludzi będzie wiadomość, że ów „dalszy ciąg”, dzięki wysiłkom milicji, rozgrywa się coraz rzadziej.

Tak wygląda łódzki weekend. A marzą się kawiarnie, napoje na lodzie, koncerty, dobry teatr, dancing. Kto wie, może to nie jest takie nieprawdopodobne? Dużo dobrych chęci i trochę wysiłku w tym kierunku dałoby na pewno wkrótce rezultaty.

TADEUSZ ŻAKOWIECKI



Typy łódzkie

Fot. W. BILINSKI

Znalazł się kiedyś pewien pan postulujący w którymś dzienniku otwarcie, ni mniej ni więcej tylko... lombardów. Tak, prawdziwych lombardów z opasłym lub chudym jegomościem, urzędującym za podłużnym stołem. Niefortunnego projektanta oczywiście wykpiłono. No bo jakże u nas raptem „takie rzeczy”, „Rzeczy”, nawiasem mówiąc, nie bardzo chwalebne.

A jednak...

ŁUDZIE Z INICJATYWA

Znaleźli się ludzie z inicjatywą rozumiejący doskonale, że w 700-tysięcznym mieście zawsze znajdzie się ktoś potrzebujący na gwałt pieniędzy, a mogący się obejść na jakiś czas bez np. zegarka, czy obrączki.

JERZY WILMAŃSKI

UWAGA, LICHWA

CZASEM INACZEJ...

To, że ów ktoś pieniędzy potrzebuje z reguły na wódkę, to już inna sprawa.

Ludzie z inicjatywą zaczęli działać. Jak wiadomo, taka działalność wymaga pewnych zasobów finansowych. Tej „zbożnej” a niebezpiecznej pracy podjęli się m. in. sprzedawcy z kiosków.

Oczywiście daleki jestem od określenia mianem lichwiarzy wszystkich uczciwych sprzedawców. Jest jednak niezaprzeczalnym faktem, iż

SĄ TAKIE KIOSKI

Jeden z ruchliwszych punktów Łodzi. Na rogu zielona budka z napojami. Sympatyczny pan sprzedaje piwo, oranżadę, cukierki, papierosy. Nic ciekawego się nie dzieje. Ot zwykły dzień pracy zwykłego kioskarza.

Pójdźmy jednak dalej. Przed piąkną piwa trzech mężczyzn. Nagle co to? Jeden z nich ściga z ręki obrączkę. Potem wszyscy zgodnie zmierzają w kierunku... zielonego kiosku z urzędującym za szybą sympatycznym panem.

Tak. Dopiero teraz zaczyna się rozgrywać interesująca nas sprawa.

TRANSAKCYJA ZA ZIEŁONYMI DRZWIAMI

— Przysłał mnie Wladek. (Wladek to często fikcja. Kioskarz — lichwiarz nie może znać wszystkich swoich klientów. W ten spo-

sób jednak nabiera do petenta większego zaufania).

— O co chodzi?

— 200 złotych. Daję obrączkę. Pojutrze oddaję wszystko.

Po parominutowych oględzinach przedmiot wędruje do kieszeni kioskarza, a klient otrzymuje upragnione pieniądze. Wspomnieć należy, iż w kieszeni lichwiarza zostaje jeszcze coś więcej. Właściwie nie ważnego, ot zagryzłony świstek papieru.

„Ja niżej podpisany A. B. pożyczę od pana C. D. 300 złotych, zostawiając złotą obrączkę. Jeżeli do dnia 28 bm. nie zwrócę pożyczonych pieniędzy, obrączka przechodzi na własność pana C. D.”

Następuje podpis i numer dowodu osobistego. Wszelkie pozycje legalności zachowane.

Do zielonego kiosku wchodzi młody mężczyzna w brązowej marynarce.

— Pożycz pan trzy „stowy” do jutra. Zastawiam „Delbanę”.

— Nie mogę „mam mały utarg. Ale...”

Tu sprzedawca nachyla się i zawile tumaczy coś młodzieńcowi.

Tego samego młodego człowieka w brązowej marynarce spotykamy parę ulic dalej, gdy wchodzi do podobnego kiosku. No cóż. Zwykła solidarność w zawodzie.

Pomocy u pokątnych lichwiarzy szukają z reguły ludzie o, delikatnie mówiąc, niezbyt sztywnych zasadach moralnych. Nalógowi alkoholicy przede wszystkim.

Nierzadko pieniądze, które na skutek lekkiego „rausza” wydają się tak bliskie, znajdują się w kieszeni zastawiającego dopiero po tygodniu. A procent rośnie. Procent potwornie wysoki, zazwyczaj w granicach 50 złotych za jeden dzień zwłoki. Zresztą lichwiarz zawsze może go podwyższyć. Przecież posiada oświadczenie napisane własnoręcznie przez zastawiającego.

Ile obrączek, zegarków, przedmiotów srebrnych nie wraca nigdy do właścicieli? Nie wiadomo. W każdym bądź razie niemało.

Niebezpieczny proceder sowsicie się opteka. Lichwa trwa!

Tajniki wywiadów, gabinetów i wydarzeń XX wieku

Utykając w bagnistej dżungli, całym miesiącami zdobywając małe wysypki, Amerykanie mieli dość czasu, aby przynajmniej opracować nową taktykę walki z nieprzyjacielem. Doświadczenie wskazywało bowiem na to, że z chwilą gdy Japończycy uzyskiwali moment wytchnienia i mogli ustabilizować front — linie ich obrony zastępywały natchem i stawały się nie do przełamania, wytrzymując nawet kilkakrotną przewagę ludzi i sprzętu. Zjawisko zupełnie nie spotykane na europejskim obszarze II wojny światowej, gdzie właśnie frontalne, forsowne przełamania obrony, było punktem wyjścia każdej ofensywy. Również europejskich ofensyw

POCZĄTEK I KONIEC „WIELKIEJ DROGI CESARSTWA” Część XIV

OSCAR LINDAY

TRIUMF NOWEJ TAKTYKI

armii amerykańskiej. Na Pacyfiku Amerykanie bili wszystkie rekordy zółwiego tempa i prowadząc wojnę z takim „rozmachem”, doszli do Tokio mniej więcej w ciągu dziesięciu lat.

Z pomocą maszyn do liczenia wyciągnęli Amerykanie wniosek, że ich formalna, liczbowa przewaga, może się stać przewagą efektywną tylko w takim wypadku, o ile zdołają atakować Japończyków niespodziewanie, w punktach do-

wolnie przez siebie wybranych, omijając najsilniej bronione rejony. Z kolei, rozbudowując w tych punktach bazy lotnicze, przecinać szlaki komunikacyjne ostrydłone-

go obszaru nieprzyjaciela i pozabawiając w ten sposób dany obszar znaczenia strategicznego, szykować następny skok naprzód. A więc nie z wyspy na wyspę, jak to miało

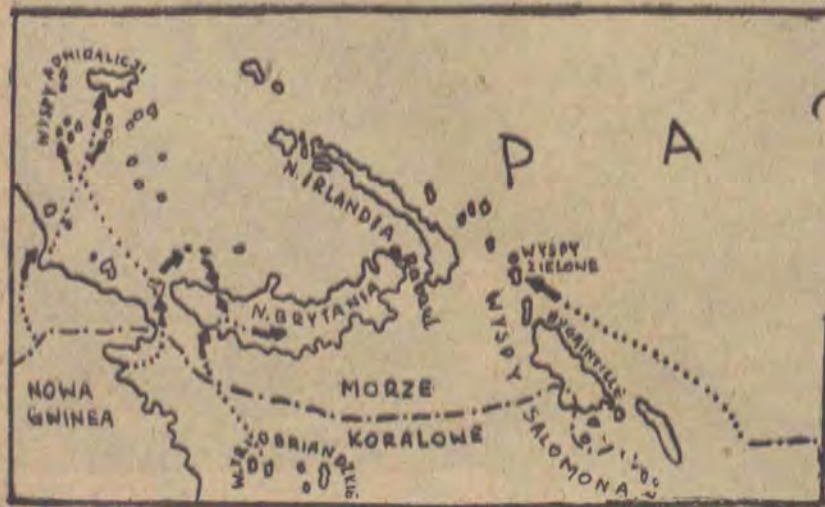
miejsce przez półtora roku na archipelagu Salomona, nie miesiącami krok za krokiem, jak było na Nowej Gwince — a z obszaru na obszar — od kilkuset do tysiąca kilometrów na jeden raz.

Powodzenie tej taktyki mogła zapewnić tylko zdecydowana przewaga floty morskiej i lotnictwa. Z początkiem 1944 r. przewaga ta była już kilkakrotna. Pomimo dużych strat, poniesionych przez US Army na przestrzeni od grudnia 1941 do grudnia 1943 r., ogólna ilość ich okrętów bojowych wzrosła z 360 (stan na 6. XII. 41) do 620, zaś samolotów floty z 2.000 do 37.000. Oprócz lotnictwa floty nad Pacyfikiem operowały także silne ugrupowania tzw. „lotnictwa strategicznego”, wyposażone w kilka tysięcy czteromotorowych fortec. Samą obsługę lotnictwa i floty morskiej na Pacyfiku obsługiwało 3 miliony żołnierzy! W przeciwieństwie do tego przemysł japoński ledwie nadążał uzupełniać potężne straty — o wzroście stanu bojowego floty i marynarki po stronie japońskiej nie mogło być mowy.

Równocześnie starannie opracowana nowa technika lądowania, doskonale wyekwipowana piechota morska, tysiące opancerzonych barek desantowych, z których każda była samodzielnym statkiem bojowym wyposażonym w artylerię do zwalczania celów naziemnych — pozwoliły Amerykanom działać z właściwym rozmachem.

20 listopada 1943 r. ruszyła prąwym skrzydłem amerykańska o-

(Dokończenie na str. 9)



Środkowy odcinek frontu na Pacyfiku, który według amerykańskiej koncepcji stał się podstawą wyjściową do generalnej ofensywy przeciw Japonii. W strefie Morza Koralewego przerywaną linią oznaczono granicę frontu w dniu 1 grudnia 1943 r. Liniami kropkowymi i strzałkami oznaczono kierunki decydujących ataków armii amerykańskiej. Atak na Wyspy Admiralicji będzie omówiony w najbliższym odcinku.



NIEDZIELA W ŁAGIEWNIKACH

Tekst:
TADEUSZ ŻAKOWIECKI
Zdjęcia:
LECH OLEJNICZAK



KSIĘSTWO Z BAJKI — MONACO

Szanowny Redaktorze!
Reporter Pański znalazł się w księstwie Monaco. Niedawno odbywały się tu chrzciny drugiego już potomka księcia Rainiera i księżniczki Grace. Teraz jest już po całej imprezie i tylko lamy tygodników pełne są jeszcze zabawnych ciekawostek. Tyczą się one tematu śloma kwiatami wysypana była kaplica, jak była ubrana księżeczka para itd. Bo trzeba Panu, Drogi Redaktorze wiedzieć, że te blahe na pozór, w naszym pojęciu sprawy, nad wyraz interesu-

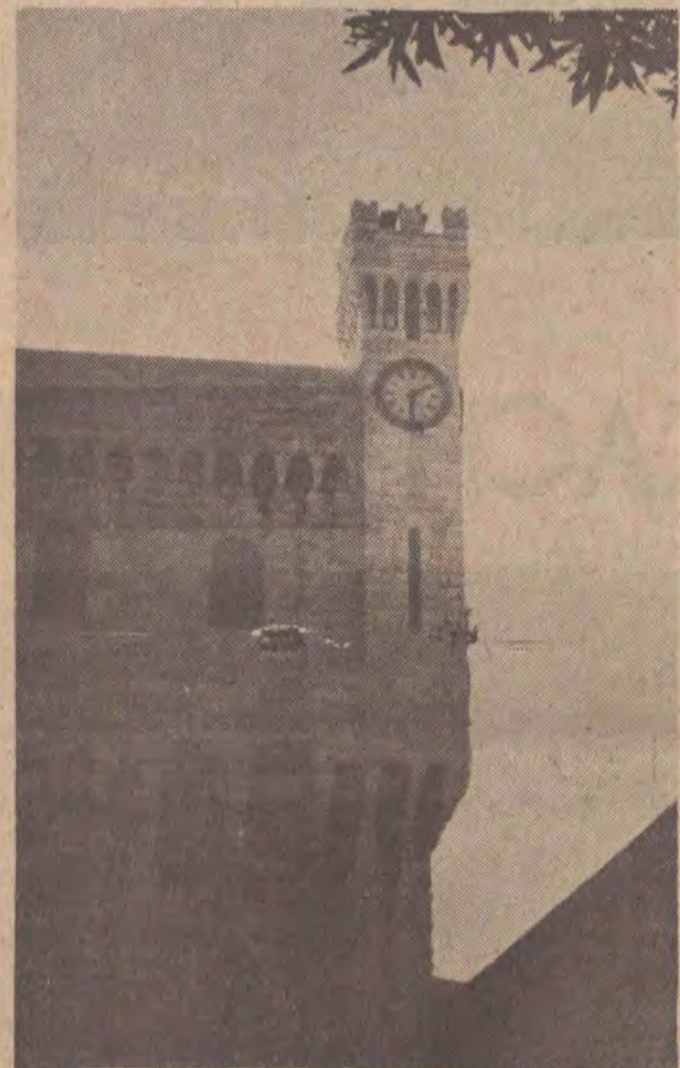
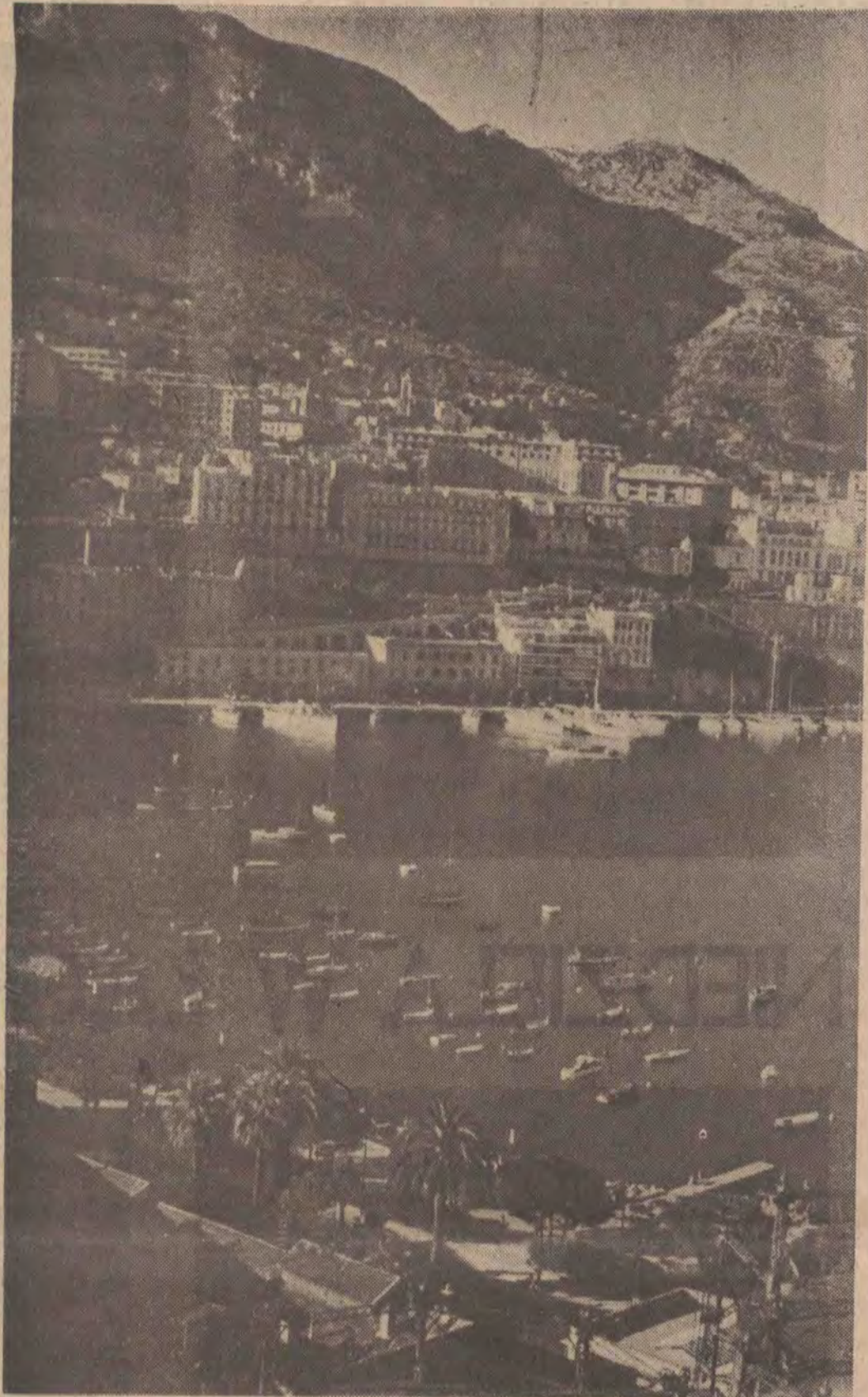
ją mieszkańców Monaco, rozleniwionych słońcem, nieplaceniem podatków i brakiem służby wojskowej. Choć i wojsko tu jest, owszem, nawet malownicze, z gwardyjską ubraną. Widziałem zmianę warty, odbywającą się u bramy pałacu. Cała armia, jak jeden mąż znajdowała się pod bronią!

Po tych wstępnych uwagach, przejdź wypada do opisu księstwa. Otóż, gdyby Pan — Redaktorze przypomniał sobie nagle swoje dziecięce lata ubrał był krótkie spodni-

ki itd. — to jako dziecko zdolne a pomysłowe i nie pozhażone fantazją, postawiłby Pan właśnie Monaco. A więc mieszkańcy Monaco mają państwo, jak gdyby wymyślone w trakcie beztróskiej zabawy, ale myśliłby się Pan przypuszczając, że mają oni także — dziecięcą głowę do interesów. O! — co to, to nie. Nawet małżeństwo księcia było rozsądnie pomyślane, wnioskując po... rentowności. Przede wszystkim — dzięki małżeństwu swego władcy z popularną gwiazdą, Monaco znów, tak za dawnych, dobrych lat — znalazło się „na tapecie” i niby Mekka — pielgrzymów, zwabia ono brać turystyczną z całego świata. Po wtóre zaś — podobizna księżniczki Grace, — jej surowy i bardzo klasyczny profil, zdobył tysiące najprzeróżniejszych pocztówek, które nabyć tu można dosłownie na każdym kroku. A przecież, gdyby partnerka księcia nie była Grace Kelly (tylko ktoś mniej efektywny — to owa, czysto handlowa strona imprezy mogła spełznąć na niczym.

Z powyższych uwag może Pan Redaktorze wysnuć wniosek, że Monaco egzystuje w swym niezależnym kształcie dzięki temu, że więcej ludzi niż sądzimy przejawia turystyczne skłonności i zamiłowania. Monaco jest dość nie, nawet do przesady. Wszystko tutaj tej gościnności służy i wszystko dla niej jest zorganizowane. Mechanizm działa sprawnie, może dzięki wieloletniej praktyce, — nie wiem. Policjant, który w białym, tropikalnym stroju reguluje ruch pojazdów mechanicznych przed pałacem, wyrozumiale spogląda na niesfornych turystów, gdy fotografują się obok niego, jak nasi łodzianie koło białego niedźwiedzia w parku. To wszystko jest komiczne i niezbyt poważne. Dlatego nasz turysta, ten najbardziej typowy, wymyślony przez karykaturzystów, ów turysta z ciupaga w dłoń! i spirytusem w teczkę — stanie przed pałacem obok kolorowych budek, lańcuchów i gazowej latarni, splunie po trzykroć na mozałkę i powie: e tam, Monaco! Księstwo z operetki!

Trzeci turysta! Rodaku! Nie pomstuj, lecz wejdź wesołej między wąskie uliczki, zobacz z daleka różowy, noplamienny pałac, średniowieczne armatki i stopy kul, obok których bawia się dzieci. A potem wstąp w pałacową bramę (jeśli cię strażnik przepuści), obejrzyj łóżganki i staj przy niewysokim murku, skąd zobaczysz basen jachtowy i białe Monte Carlo. Tutaj przekonasz się, że morze naprawdę bywa niebieskie jak w plosenie. Będziesz wracał cieniście przemykami, zajrzyj wtedy do którejsz pracowni, gdzie powstają malowane dzbany. Tak brzydkie, tak absolutnie koszmarnie, że aż

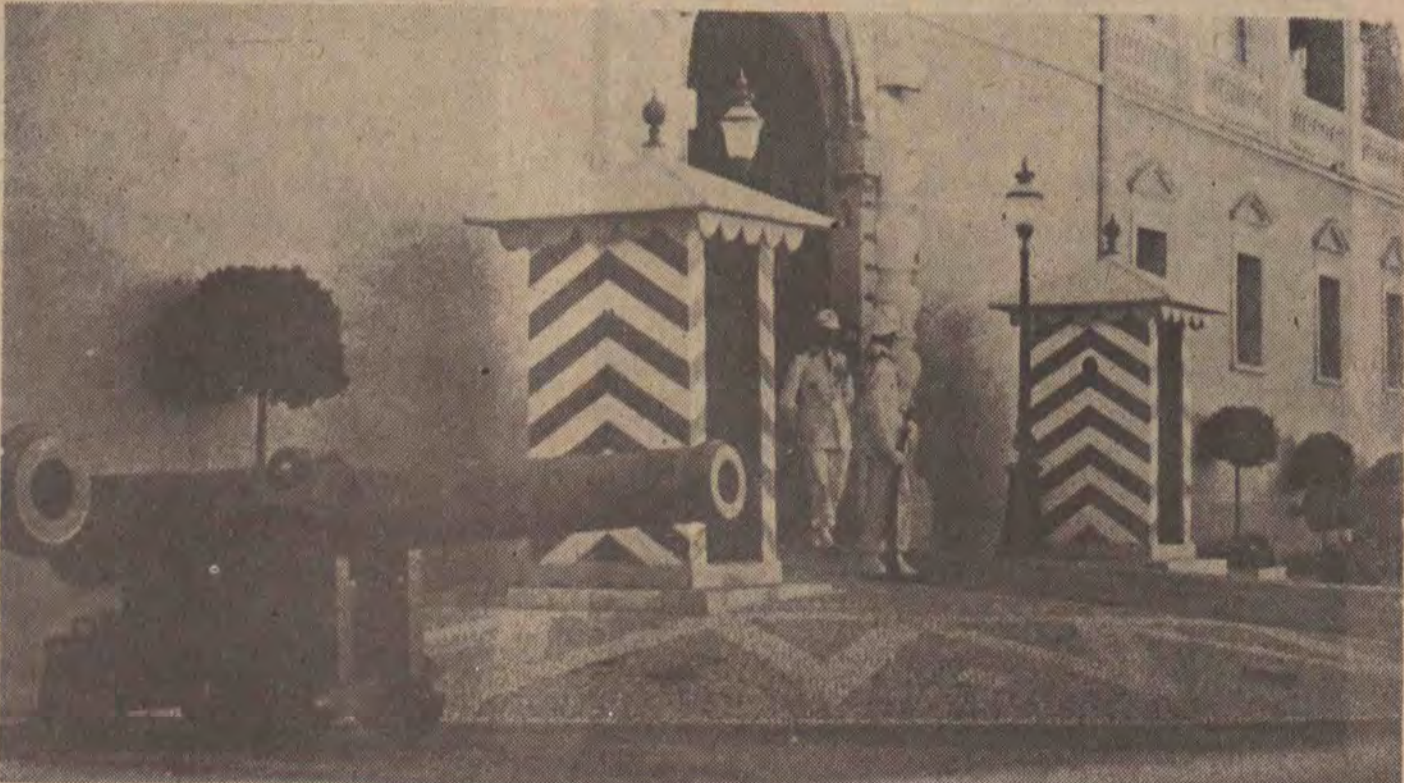


piękne i masowo wykupywane przez Amerykanów. One właśnie, te dzbany, wypalane i polyskliwe — nauczy cię cennie rodzimą sztukę ludową, a widok trzech zakonnie siedzących przy łagodnym trunku na tarasie ekskluzywnej kawiarni — przekoną cię, że w Monaco nieczego niemożliwego nie ma.

Monaco można smakować tylko jednym, przegromnym haustem. Potem będzie już tylko zwykłym miejscem na ziemi, które nie robi wrażenia. Tymczasem znajdujemy się w nierealnej, wręcz wymyślonej atmosferze, której konkretne, malowane wymiary robią złudzenie groteskowej dekoracji. Może najmniej tej groteski znajdziemy wśród luksusu, w basenie jachtowym, obok „Christine” Onasisa. Tutaj wszystko przeliczne jest na realną wartość pieniądza. Legendarny milioner, posiadacz olbrzymiego majątku i własnej prywatnej floty handlowej, zakupił niedługo z demobilu lekki okręt wojenny, który po wielu skomplikowanych przeróbkach stał się najlepiej wyposażonym jachtem, jaki kiedykolwiek pływał po wodach kuli ziemskiej. Z „Christine” prowadzi na brzeg trap, wyłożony białym płótnem. Przed trzema — puszysta wycieraczka. Ta moda się przyjęła. W basenie jachtowym, od Monaco aż po Monte Carlo, a nawet w niedłokim Cannes — wszystkie jachty, także te najmniejsze, biedne — wyszykowane są tak samo...

Szanowny Panie Redaktorze!
W moim liście znalazł Pan bynajmniej nie studium o Monaco, i nie charakterystykę jego gospodarki. Nie będzie też w żadnym wypadku oceną w jakim stopniu władza dzierżona przez księcia jest marionetkowa i jak tutaj kształtuje się udział obcych kapitałów. Byłem w Monaco zbyt krótko, żeby zgłębić te interesujące szczegóły. Mogę Panu jedynie napisać, że ogólne wrażenie, jakie wywiera Monaco, jest mówiąc ogólnie — dosyć niezwykłe. Egzotyczny urok Monaco, nie od razu, ale po namyśle, robi bowiem wrażenie wręcz specyficzne, podobne temu, które znalazłem w Paryżu, oglądając niektóre rodzaje ma-

(Dokończenie na str. 12)



DREWNIANA

JESIONKA

Wielka Łódź. Sześć sklepów Miejskiego Przedsiębiorstwa Pogrzebowego, dwunastu spryciarzy, dwa duże, czarne „Chaussony”, cztery mniejsze „Stary”, dwie małe „Renówki”. To tabor zmotoryzowany. Ponadto dwa państwowe karawany konne i kilkanaście prywatnych.

— Panie, my całą Łódź...
Kierownicy Miejskiego Przedsiębiorstwa Pogrzebowego zachodzą się w swoim przedsiębiorstwie. Ich entuzjazm urzeka wprost. Chciałoby się tylko umierać i umierać.

A oni by tak serdecznie grzeball i grzeball.

— Panie, my całą Łódź...
Do prywaciarzy to tak zaglądałem tylko. Mizerna to konkurencja dla szybkich „Chaussonów”, „Starów” i „Renówek”.

— Konkurent mój, prywaciarz, spod czterdziestego trzeciego, miał w maju jeden pogrzeb, a u nas są dni, że trzydziści pięć się obróbi. Ot, widzi pan!

Rzeczywiście. Sklep numer dwa bije konkurenta na całym froncie. Gratulujemy, kierowniku!

A sklep rzeczywiście zasługuje na pochwałę. Czysto. Trumienki harmonijnie poustawiane pod ścianami. Nad biurkiem kierownika jakieś urzędowe obwieszczenie i steryzowane wianuszki. Dla ubogich.

Z kierownikiem p. Gołębiowskim rozmawiamy o handlu pogrzebami.

— Jak się kształtują ceny?

— A więc najdroższy pogrzeb kosztuje u nas zaledwie 1.655 zł. Dekorujemy wtedy zielenią dom i w ogóle z wszystkimi szykanami; „średni”, taki bez zieleni, 1220, najtańszy (przewóz i trumna) 740. Ponadto tak zwany „miejski” — 440.

— Mój Boże — wdycham. — A ile to kosztuje podróż w tę stronę. Umierać tylko, nie żyć...

Kierownik łapie mnie na tych myślach i szybko wyjaśnia:

— Ale panie. U prywaciarzy dwa razy tyle. A do tego jeszcze kwiaty (zimną wieniec kosztuje nawet tysiąc pięćset), a ksiądz, a miejsce na cmentarzu. Jak dobrze, to też kawalek poleci.

— No tak. I to wszystko naraz. A ja nigdy nie miałem w całości dwóch patyków. Gdyby to choć na raty... Nie! Jednak lepiej żyć, nie umierać.

I znów kierownik:

— Ale to wszystko ciemnota. Bo im jak tania trumna to niedobra. A po co te drogie kwiaty, po co szum, po co?...

— W końcu nie wiem. Ni iść, ni zostać.
Do sklepu wchodzi zażywny jegomość.

— Witam, witam, Kochany kierowniku!

Okazuje się, że pan kierownik „Sprzedaży i usług” MPP, z dyrektora. Pan Trzciniński wraca właśnie z lustracji pogrzebów. Wdepnął zobaczyć co słychać w sklepie numer dwa.

— To nasz najlepszy kierownik — mówi o Gołębiowskim. Potem snujemy w trójkę plany, słucham opowieści o ich pracy i poświęceniu dla społeczeństwa.

— Klienta trzeba dobrze obsłużyć — oto nasza dewiza.

Mimo woli widzę tego klienta w jednej z tych trumien na podłodze i wzdrygam się. Ale przecież klientem jest nie ten z mojego wyobrażenia. To ktoś z rodziny, czasem przyjacielem domu...

Mój rozmówca z pasją opowiada o „lewych” pogrzebach. Tych ciężarówkami z mleczarni i innych.

— Kiedyś złapałem kierowcę z pogotowia. Skoczył z nieboszczykiem aż do Sieradza. Po cichu, za cztery słówki. Innym razem auto ciężarowe z mleczarni w Topoli Królewskiej. Dobrze, że choć nie między bańkami z mlekiem.

Kierownik Trzciniński oddany jest przedsiębiorstwu.

— Konkurencję należy tępić. Oczywiście pan Trzciniński mówi, że idzie o względy higieniczne, ale co tam taki wytrawny handlowiec myśli?

Patrzę na rzędy trumienek i myślę: niekolorowo. Białe są, brązowe i czarne.

— W białych chowają zwykle

dziewice, a w czarnych stare babunie...

Wchodzi klient. Najpierw coś tam przy biurku. Potem:

— Pan życzy „dwójkę”, „trójkę”, „piątkę”?

Pytam, czy to numery, tak jak butów?

— Nie to według jakości i ceny.

„Piątka” jest najdroższa — 545 zł, „szóstka” — 540 zł. Potem już schodzi regularnie w dół. „Czwórka” 480, „trójka” — 380, „dwójka” 280.

— A daję słowo, że bym chciał „dwójkę”. Skromna, ładnie polakierowana i wymiar w sam raz... Powiedziałbym, że nawet przez swą prostotę modniejsza.

— Nazywają je „drewnianymi jesionkami”. Ot, z czego już ci ludzie nie kpią...

— Wraca pan z kontroli — zwracam się do p. Trzcinińskiego. — A czy nie zauważyli panowie, że żalobnicy wasi biorą zawsze dodatkowe pieniądze. Że domagają się ich czasem?

— Tak. Niestety, wypadki takie miały miejsce. Kilka osób już zwolniliśmy, kilka dostało wypowiedzenie...

Dochodzimy powoli do sedna sprawy. Wielu jest niestety takich co żerują na pogrzebach, wielu robi to zupełnie legalnie.

Pamiętam, załatwiałem raz taką sprawę z kościelnym. Poszedłem, o naiwny, z czterdziestoma złotymi.

— Co? — spojrział na mnie z góry. — Bierzemy sto dwadzieścia. Najmniej. Płacą więcej. To jest dwóch ludzi!

Musiałem pójść pożyczyc. Bo jak by to było bez chorągwi, bez krzyża. Ale potem myślałem. Człowiek tyle lat studiował i ma na cały dzień pięćdziesiąt złotych, a taki za dwie godziny spaceru...

Albo w kwaciarniach. Zimą za trzy dalej zapłaciłem sto dwadzieścia. A widziałem wieniec z samych dali. O, Boże. I to w państwowym sklepie...

A pomniki! Taki wytwórny, jak to widzicie nieraz na Starym Cmentarzu, kosztuje tyle co domek jednorodzinny. Tyle, że teraz rzadko kto sobie stawia.

Pani Szymańska rozmawia z dziennikarzem przez łańcuch. — No, cóż. Zrobiło się „mamone” na ludzkim nieszczęściu, brzuszek urósł, to można ludzi „per noga”.

— Po ile te pomniczki? — pytam.

— Najtańszy trzy tysiące... — A naj...

— Jak kto chce całą fortunę na tamten świat, to i bardzo dużo.

„Tamten świat” to i kieszeń pani Szymańskiej i kwaciarczy, i wielu takich, co wiedzą, jaki interes jest pewny. Tak, umrzeć to nam wszystkim przyjdzie na pewno, tylko dlaczego tyle dodatkowych ciężarów tym żywym, tym co zostają?

Co z tego, panie kierowniku Trzciniński, że u Was tania, że „klient jest dobrze obsłużony”, że u Was zdarzy się może tylko jakiś wyjątkowo nieuczciwy pracownik? Co z tego panie Trzciniński? Poza wami to jeszcze dużo kosztuje. Słyszałem, że dobre miejsce na „Starym” kosztuje na 20 lat około tysiąca. A przecież kto nie pragnie żeby było dobrze. Dla męża, dla ojca, dla syna, dla córki...

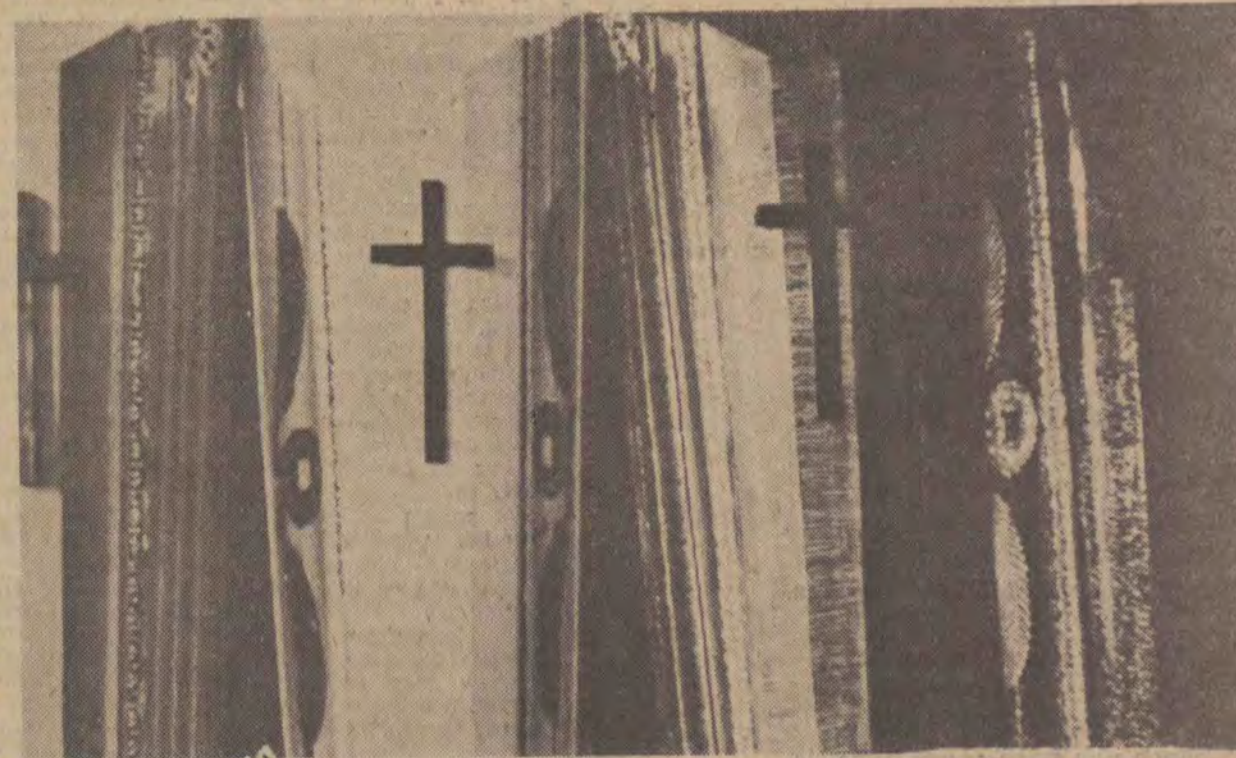
Potem jeszcze lata całe chodzimy na te groby.

— Pani. Moją matkę skopali — skarży się starsza kobieta na „Starym”. — Skąd miałam wziąć. To już 20 lat przeszło.

Ale na „Starym” ludzie dbają o groby. Zresztą dbają na Mani, na Zarzewie, na Radogoszczu. Stale przybywa pomników, stale świeże, cudowne kwiaty, stale modlitwa za dusze.

Wspaniała jest ta pamięć o zmarłych, wspaniale są te wdowy odejmujące sobie od ust by zanieść „tam” kwiaty albo modlitwę. Tak, wspaniale, ale właśnie dlatego, że takie to wzruszające, piękne, wspaniale — właśnie dlatego trzeba wypowiedzieć walkę wszystkim, którzy na tych wspaniałych, biednych ludziach żerują. Walczmy aby to wszystko było naprawdę piękne. Nie tylko z jednej strony.

WŁODZIMIERZ S. MAREK.



Grzegorz Timofiejew wydał niedawno „Wiersze dla dzieci“ z ilustracjami J. M. Szancera. W tłumaczeniu na rosyjski przez Pantelejmo- wa Juriewa ukazały się one w Związku Radzieckim.
— Czy pisze Pan dla dzie- ci dalej?
— Oczywiście, to bardzo wdzięczni czytelnicy. „Wier- sze dla dzieci“ miały sto tysięcy nakładu. Obecnie przygotowuję drugi, znacznie obszerniejszy tomik pt. „ZOO na zabawie“.
A prace „poważne“? W II serii łódzkiej biblio-

NOWE WIERSZE

teki poetów wyją wiersze pt. „Gorycz wierzby“. Co więcej? Ma się już te lata (niestety!), że można pisać wspomnienia. Łódź widzia- na oczami dziecka, pierwsza wojna światowa, carska Rosja i rewolucja październikowa, Łódź po odzyskaniu niepodległości, szkoła i uni- wersytet, życie literackie moich czasów, walka klaso- wa w Łodzi, tragiczny wrze- sień 1939 r., okupacja i pra- ca w konspiracji, więzienie, Oświęcim — oto poszczegól- ne rodzaje mej pracy pt. „Kartki z zyciorysu“. Wyda- je „Wydawnictwo Łódzkie“.

— A wspomnienia z Gu- zem?

— To już osobny temat, do którego przygotowuję się bardzo starannie. Chcę uka- zać wpływ na psychikę czło- wieka aparatu terroru. Tym- czasem Związek Bojowników o Wolność i Demokrację wznowił moje wiersze z kon- spiracji i obozu, które ukaza- ły się w 1946 roku pt. „Wysoki płomień“.

Wiatry wieją nad moim snem
I odtajalymi polami.
Otwierają mi oczy lekkim tchem
Jak by pocałunkami.

Wiatry przyszły do moich rąk
Po wiosennej wiejąc równinie.
Ciepłe i drzące wziąłem jak by pęk
Nabrzmiały na wierzbinie.

Wiatry poszły w daleki świat,
Skowronkami zamiotły ziemię...
Potracili o pięćdziesiąt mych lat,
Bym zrzucił je jak brzemię.

Noc cwałuje i miażdży pierś mi
Księżycowym kołem miedzianym.
Znowu myślę o śmierci
Samotny i stratowany...

Przemocy ślepa,
Budowałem ciało i dom dla myśli,
A ty nagle — w przepaści...
I nawet pustkę po mnie zniszczysz.

Oto lecą już w sny otwarte.
Drżenie serca od mroku dzieli...
Swit mnie wylapuje światłem
I dyszę głębinowy na zmiętej pościeli.

Za oknem dzień niezwykły.
Drżą ręce pełne oczekiwania.
I wraca do mnie życie — przypływ
Z otchłani niepowracania.
(z wierszy szpitalnych)

Z ŻYCIORYSU

O, noce narodowe
Od szczytu do głębokiego dna
Rozjaśnione gwiazdami czczonek!...
Na skrawkach świtu spisała je pamięć.

Więzienia, wory kamienne,
Upychane gęsto ciałami ludzi!...
Torturowany kratą olbrzymi cień
Podchodził do mieszkań.

Dymy bez powrotu!
W obozach wsiłani w powietrze
Nie stali się ptakiem ani chmurą.
Nie dotknęli ziemi bodaj kroplą.

Jesteście ze mną. Otaczacie szeptem:
Coś uczynił z życia, które nas przetrwało?
Napinam usta do gorącego krzyku.
I milczę.

ZAKŁADKA

Między kartkami starej książki
Barwna zakładka. Tak, pamiętam...
Ucięta z pensjonarskiej wstążki.
W niej była młodość Twa zwinęta.

Matek nie mają martwe rzeczy,
Sierot po sobie nie zostawia.
Przeżyją każdy ból człowieczy.
Czasem z nim tylko razem krwawia.

str. 6 **odgłosy**

OSOBLIWOŚCI STAROPOLSKIE

ROZTROPNIUSIUCHNICZENIECZENNIUNIEKNO DAMA

Przy okrągłym stoliku siedząc — sześć wżaz sama
Kawalerów obdziela swym affektem dama:
Lewą i prawą ręką dwóch, co jedli z bliska,
Tęgo k'sercu przytuła, temu rękę ścisła;
Z trzecim mruganiem, wdzięcznie z czwartym
usty mówi.

Dwóch nogami trącając skrycie serca łowi,
Poniż siódmy — osobno siedząc od jejmości —
Bierze przez pokojową kredens uprzejmości.
A. KORCZYŃSKI, Fraszki, wyd. R. Pollak, Wro-
claw, 1950.

„Z wielkim apetytem lu-
bią damy oczy paść po ka-
walerach z tej podobno ra-
cyi, że w nich kości swojej,
z której stworzone są, upa-
trują, ale się też nie jeden
kawaler kością (jak mówią)
w gardle stanie“.

F. NIEWIESKI, Kalendarz
na rok 1722.

Teraz już taka nastala
maniera,
By sama dama szła do
kawalera,
Niech się o niego stara, niech
się pyta,
Zwyczajnie, łowna kotka
szczura chwytą.

F. NIEWIESKI, Kalendarz
na rok 1722.

Jeśli królów polskich oce-
niać według tuszy, to bez-
konkurencyjny okaże się
August III Sas, Koronowa-
ny ten opas: „Jadał tłusto i
wiele, kuchnia jego nie mia-
ła równej w Europie tak co
do wytworności potraw, jak
co do wielkości ich... choć
sam jeden obładował, zasta-
wiano jednak przed niego
najmniej 20 potraw, a potem
woty i culery. Wina używał
mało i to szampańskiego al-
bo przedniego węgierskiego.
Lecz za niego pili dobrze je-
go dworscy... Nie mając, czy

nie chcą mieć król żadne-
go zatrudnienia na swojej
głowie, cały czas w zimową
porę przesiadywał w poko-
jach swoich, bawiąc się z
domownikami swymi po-
tocznymi dyskursami, a naj-
więcej myśliwskimi, projek-
tując polowania, na które
wyjeżdżał często, do dóbr
radziwiłłowskich, w puszcze
i zwierza wielkiego obfitu-
jących, lubił także polowa-
nia na guszcze... Tytoń palił
mocny, najwięcej po oble-
dzie, po którym przy tytoniu

popijał saskie piwo tegie i
tłuste, osobliwie dla niego
robione.

Prócz wyrażonych dopie-
ro, miał jeszcze jedną roz-
rywkę nie ze wszystkim
przystojną. Kazał przywó-
dzić przed okna swego pala-
cu ścierwy zdechłych koni
dla zwabienia psów. Te
strzelał z wiatrówki, a hycel
ubite psy codziennie wieczorem
wywodził z dziedzińca i za-
kładał nowe ścierwy, z gna-
tów ogryzionych wyczysz-
czając dziedzińce“.

A. KITOWICZ, Pamiętni-
ki, Lwów, 1882.

GORZAŁKI OBRZYDZENIE

Jaja sownie mocz przez 40
godzin w gorzałce, a potem
day wypić. Item. Lina ży-
wego utop w gorzałce, po-
tym day wypić, jak lin zde-
chnie. Toż czyń z węgorem.

RKPS BIBL. ŁOPACIŃ-
SKICH Nr 2039.

O ORDERACH

Order polski był tylko jeden, Orła Białego; ustanowiony
od Augusta II, rzadko któremu z panów polskich był dawany
i tylko takim, którzy intratę roczną krociami, tysiącami
lub milionami rachowali. Ku końcowi panowania Augusta III
zagaściły się ordery, które graf Brühl, minister królewski
przedawał, od możnych i pragnących tej błyskotki biorąc
po dziesięć i więcej tysięcy czerwonych złotych; wszakże
gdy ten towar wielkiego pokupu nie miał, a żądza pienię-
dzy w ministrze rosła — spadała duża cena: można było na
ostatku dostać orderu za tysiąc jeden i mniej czerwonych
złotych...

Oprócz taksy orderu jeszcze biorący order musiał wyszy-
płać kilkadziesiąt czerwonych złotych na kamerdynera kró-
lewskiego, odźwiernych i lokajów, którzy każdemu biorą-
cemu order powinszować tego honoru, jedni po drugim przy-
chodząc, i po kilkanaście dukatów wyludzając nie opuścili...
Pan orderowy do każdej sukni miał przyszytą gwiazdę, na-
wet i do płaszcza, i kiereł, ledwo nie do szlafroka, aby go
wszędzie i zawsze znać było, że jest orderowym.

J. KITOWICZ, Opis obyczajów za panowania Augusta III,
Wrocław 1951. Oprac. Z. K.

MARIAN PIECHAŁ

DIALOG O SAMOT

Czy człowiek może żyć w samotności? Na chwilę tak, w ogóle nie. Z samotnością to jak z niektórymi truciznami — w drobnych daw-
kach jest lekarstwem, w większych — powoduje śmierć. W jakim sensie? W sensie cywilizacyjnym: w samotności człowiek dziczeje. Czyżby? A pustelnicy, e-
remici, anachoreci? Oni nie byli samotni. Oni obcowali z fikcjami własnej wiary, samotność swoją załadnił tworami własnej wyobraźni. Można, co prawda, uciec od ludzi, ale pod warunkiem, jak to ilustruje przykład Tar-
rzana, przystania do małp, czyli właśnie za cenę zdzi-
czenia. Wprawdzie niejaki Robinson Kruzo przeżył podobno na bezludnej wyspie dość długi czas i nie zdzi-
czał, no, ale nie był on znowu tak zupełnie samo-ny, skoro miał przy sobie Pię-
taszka, a poza tym jest to postać nie rzeczywista, lecz wymyślona przez sławnego literata angielskiego, celu-
jacego w tego rodzaju nie-
prawdopodobnych wymy-
słach, Daniela Defoe.

Inny, niemniej sławny pisarz angielski, a nasz ro-
dak, Joseph Conrad, wymy-
ślał także rozmaitych boha-
terów swoich powieści, ale
każdy taki wymysł opierał
na własnym, realnym do-
świadczeniu. Otóż ten Con-

rad opisał w swoich powie-
ściach kilka takich ucieczek
swoich bohaterów w dzikie,
odludne okolice, ale bynaj-
mniej nie bezludne, tylko
tyle, że poza kregiem tzw.
cywilizacji europejskiej. I
pokazał dziwną rzecz: jeżeli
jego bohater nawiązuje jakik-
kolwiek kontakt duchowy z
miejscową pierwotną ludno-
ścią, żyjącą choćby na bardzo
prymitywnym poziomie kul-
tury, to wchodzi w tę nową
społeczność, przystosowuje
się do niej, w ramach wspól-
noty zachowuje swoje czło-
wieczeństwo i choć się zmie-
nia nie do poznania, to
jednak nie dziczeje, je-
żeli jednak jego bohater
nie potrafi nawiązać żadne-
go duchowego kontaktu z
miejscową pierwotną ludno-
ścią, to traci szybko resz-
kę własnej kultury, dziczeje za-
pełnie, spada poniżej jakie-
gokolwiek poziomu kultury,
choćby nawet pierwotnej, w
końcu wzbrywa się nawet
swego człowieczeństwa —
stać się troglodytą. W po-
wieści „Lord Jim“ i w opo-
wiadaniu „Jądro ciemności“,
przedstawił Conrad dwa wła-
śnie takie kontrastowe typy
uciekierów z kregu kultury
europejskiej i ich dalsze ży-
cłowe losy w sercu pierwot-
nej dżungli.

Conrad twierdzi, że czło-
wiek na dłuższą metę nie
znosi samotności, odosobie-

nie go demoralizuje, gdyż
jest z natury stworzony do
wspólnoty, do życia w gro-
madzie, do współistnienia w
zbiorowości. Oto własne je-
go słowa:

„Nie możecie tego zrozu-
mieć! I cóż dziwnego? Ma-
cie pod nogami solidny
bruk, otaczają was życzli-
wi sąsiedzi, którzy gotowi
są dodać wam ducha, albo
zrucić się na was, kroczycie
sobie ostrożnie między rze-
źnikami a policjantem, prze-
jęci zbauiennym strachem
przed skandalem i szubienic-
ą i zakładem dla obłąka-
nych — więc jakżebyście
mogli sobie wyobrazić owe
szczególnie krainy pradaw-
nych wieków, dokąd nie-
skrupowane kroki mogą
człowieka zaprowadzić przez
samotność — zupełną sa-
motność, bez policjanta —
przez milczenie, zupełne
milczenie, w którym się nie
rozlegnie żaden głos dobro-
tliwego sąsiada, szepczącego
o opinii publicznej. Te
wszystkie drobne rzeczy
składają się na ogromną
różnicę. Kiedy ich zbraknie,
musi się człowiek oprzeć na
własnej, wrodzonej sile, na
swojej własnej prawości.
Można być oczywiście zbyt
wielkim głupcem, aby zejść
z prostej drogi, zbyt tępym
by nawet wiedzieć, że się
jest napastowanym przez
mroczne potęgi. Twierdzą, iż

żaden głupiec nie sprzedał
nigdy diabłu swojej duszy;
może głupiec jest na to za
głupi, a może diabeł zbyt
diabelski — nie umiem te-
go powiedzieć. Zdarzają się
też czasem tak wściekle pod-
niosłe istoty, że są najzupeł-
niej głuche i ślepe na wszy-
stko prócz niebiańskich wi-
dzeń i dźwięków. Dla nich
ziemia jest tylko miejscem
postoju — a czy taka natu-
ra jest dla człowieka stratą
czy zyskiem, nie podejmuję
się rozstrzygnąć. Ale więk-
szość z nas nie należy ani do
jednego, ani do drugiego z
tych typów“.

I dlatego przystosowuje się
do środowiska, w którym się
znajduje, albo wyrodnije.
Absolutna samotność unicest-
wia w nas człowieka — sta-
jemy się stworami biologicz-
nym, powodowanym odru-
chami.

A jednak ten i ów z czy-
telników, zniecierpliwiony,
powie, że jednak ludzie o-
głuszeni zgiełkiem codzien-
nej harowy, pragną się wyr-
wać z kleratu codziennych
spraw, z tłumy tak samo jak
i oni załatanych i zmęczo-
nych ludzi i odpocząć gdzieś
na odludziu, w odosobnieniu
— właśnie w samotności. Tu
nawet sam Mickiewicz przy-
biega im na pomoc w sław-
nym swoim sonecie pt. „Do
samotności“:

Dopiero teraz uświadomiłam sobie, co ścigałam na swoją głowę. Boże, jak mojej mamie zależało na tej szkole! Ona dawała jej poczucie równości wobec zamożnych dam z okolicy, kształcących swe córki w tym samym zakładzie. A teraz? Teraz ja sama wyciągnęłam spod góry ambicji mojej matki jakiś mały kamyczek, który wpadł w ruch całą lawinę jej pragnień i nadziei. Było to jak by góra szła na mnie: kamyczek za kamyczkiem powoli zasypywał mi najpierw stopy, potem kolana, biodra. Siegał do piersi, szyi. Schwytalam nagle powietrze, zdawało mi się, że się lada chwila uduszę.

Isia mała się, powtarzając:
— Wyrzucą nas... starsze tak mówily na pauzie... Za to, że siejemy zgorzniecie... Julka, trzeba się przyznać do wszystkiego, przeprosić siostrę Beatę...

— Ale do czego się przyznać? — wykrztusiłam wreszcie.

— Do tego, o co nas posadzają... Ze gorszymi maluczkich, że byliśmy nieskromne...

— Co ty, Isia?

Ogarnęło mnie zdumienie. Potem złość.
— Przecież jak się przyznamy do tego, czego nie zrobiliśmy, to dopiero wtedy będą miały za co wylać nas z budy.

— Nie — Isia uparcie potrząsała głową — przyznajmy się do wszystkiego. Tak będzie lepiej. Uderzymy się w piersi, będziemy żalowały za grzechy, podziękujemy, że pomogły nam zrozumieć nasze grzechy. Obiecujemy, że już nigdy nie takiego nie zrobimy i... zobaczysz, Julka... One to lubią, wybaczają nam i... nie wyrzucą nas z pensji... A inaczej... to nie wiem, co będzie z nami...

— Isia — była przerażona jej postanowieniem — a jak by nas posadzili o to, żeśmy coś ukradły, albo... zabiły człowieka to... to też przyznałabys się do tego...?

Opuściła głowę, ale nie ustępowała:

— One są mocne, ich jest dużo. I nauczyciele, widziałas, są za nimi... I sodaliski... Ksiądz prefekt na pewno... Cała szkoła...

Isia wylizowała, a ja coraz mocniej czułam, jak zacierała się dokoła nas krąg czarnych kornetów i białych plisowanych krzyż, ręk spieczonych na różnączach u pas; czułam jak, milcząc domyślnie, spoglądają na nas karcąco nauczyciele i nauczycielki, gromią nas oczami pełnymi oburzenia sodaliski fanatycznie oddane Bogu, księdzu i siostrze. A my? My siedzieliśmy w tym kręgu struchlałe, jak dwie zielone ze strachu żaby, dygoczące w oczekiwaniu straszliwej przyszłości.

To było okropne. Ale jeszcze we dwie mogłybyśmy im stawić czoło. Pewnie, że koniec końców, nie wygrałybyśmy, byłyśmy za małe i za słabe. Ale można przegrać walkę, a jednak wyjść z niej z podniesioną głową, odnieść moralne zwycięstwo. Tymczasem ja zostawałam sama. Isia wyraźnie rejtowała. Jeszcze chwilę czekała na moją decyzję, a nie doczekawszy się jej, odwróciła ode mnie oczy i powiedziała nie bez zdumienia i złości:

— No, to ty sobie rób co chcesz, a ja się i tak przyznam. Nie potrzebuję, żeby telefonowali po ojca i żeby mnie ojciec potępił... — zawahała się co powiedzieć, spojrzała niepewnie i dokończyła — czułam to — inaczej, niż zamierzała — żeby mnie ojciec karał...

Przypomniało mi się nagle, że w domu państwa Zarebskich widziałam zawieszoną w łazience sporą dyscyplinę. Ten tchórz bał się bicia. Gotów był do wszystkiego przyznać się, byłoby tylko nie brać w skórę.

— Więc przyznasz się? — syknęłam ze złości.

— Przyznam się! — powtarzała z zaciętym uporem. — Żebyś wiedziała.

— Może jeszcze publicznie? Jak kiedyś Oia z czwartę?

— Publicznie... No to co? Co takiego? Pół godziny nieprzyjemności, ale za to potem spokój. Nie wyleją mnie i nie dostanę... Woję to, niż by mnie ojciec...

Znów urwała speszona myślą o tym, co ją czeka w domu, jeśli siostry wyleją nas z pensji i wezwą naszych rodziców. Znowu spojrzęła na mnie z wyczekiwaniem. Zdawało się jej, że zgodzę się z nią stanąć przed dwustoma pensjonarkami, przed gro-

obsmarowywać, byle tylko nie wylecieć z pensji.

Poczułam się tak oburzona, że nie mogłam opanować odruchu, podniosłam rękę i — stało się coś, czego do dnia dzisiejszego nie mogę zapomnieć. Uderzyłam Isię w twarz.

— No to masz! Idź, przyznaj się! Ja nie pójdę!

Było to tak niespodziewane, zresztą dla nas obu, że Isia cofnęła się zdumiona i przerażona:

— Julka...! Co ty!

Ja sama przerażalam się tego, co zrobiłam, się brnęłam dalej zaperzona i kogutowata:

— Jeżeli chcesz się przyznać, to przynajmniej nie kłam! Zrób najpierw to, do czego chcesz się przyznać!

Isia patrzyła na mnie z przestraszeniem. I ja patrzyłam na Isię z przestraszeniem. Zaczęłyśmy teraz obrzucać się słowami, których treści w pełni obie nie rozumiały-



WANDA KARCZEWSKA

ZMYSŁY KSIĘDZA PREFEKTA (TA TWARZ PATRZY ZEWSZĄD)

nem nauczycielskim, siostrami i prefektem. Ze uderzymy w pokorę, przyznamy się, do win nie popełnionych i — doznamy łaski odpuszczenia. Łaski odpuszczenia i — pogardy, która w moim świętym przekonaniu, miała od tamtej chwili iść za nami przez całe życie.

Zacisnęłam pięści, ledwo hamowałam lzy wściekłości:

— A ja wołałabym, żeby mnie w domu załkuli, niżbym miała tak, jak kiedyś Oia, kajać się przed wszystkimi na sali i... I tak ją ze szkoły wyrzucili... I do dziś dnia nie zapomniałem tamtej chwili...

Isia wzięła się niespokojnie, rada by — już widziałam — uciec ode mnie, od mojego obstawiania przy słusznych, ale dla niej niewygodnych zasadach.

Na policzki — czułam to — wypełzły mi czerwone placki gniewu. Ogarniała mnie coraz większa złość. To była pasywna zdrada ze strony najlepszej przyjaciółki. I wreszcie czegoś to ona się bała? Jej rodzice w najgorszym wypadku odbiorą ją z tej szkoły, w rezultacie oddadzą na inną pensję. Moja matka zapowiedziała mi, że jeśli bym kiedyś przeszkobała w tym internacie, opłacanym przez naszych bogatych krewnych, to nie mam co myśleć o dalszej nauce. A jednak to Isia chciała się ukorzyć i przyznać do nie popełnionych grzechów. I żeby to zamierzała się przyznać do przygotowywanego buntu!

Do tego, co wydawało mi się bohaterkie i wzniosłe, co w oczach całej szkoły mogłoby zasłużyć na podziw! Ale nie! Ona była skłonna przyznać się nawet do tego, co mogło okrzyć nas śmiesznością i wstydem.

Czułam, jak pomniczek naszego buntu kruszy się, zanim zdolał się wydziwnąć. Czulałam, jak ciało zaczyna mnie swędzić, jak by pokrywało się liszajem, jaki miała jedna ze wstępniaczek, od której wszyscy uciekali ze strachem i obrzydzeniem. Ach, któż uwierzy w czystość naszych zamiarów, we wzniosłą ideę naszego buntu, jeśli odkryjemy się hańbą śmieszności i wstępuku? Ładne rewolucjonistki! A wszystko to miało się stać przez tego małego tchórzka, Isię. Ona naprawde gotowa była przez pół godziny pozwolić się taplać w błocie i sama się nim pokornie

śmy, ale które nam chyba podświadomość dyktowała:

— Zrobić to! To znaczy co?

— Co?! — wołałam ściskając głos w gardle. — Zgorsz maluczkich! Bądź nieskromna!

— Zgorszyć maluczkich?!

— Tak!

— Ale jak?

— Jak?!

— No? Mów! Pójdę!

— Idź! Pokaż!

— Ale dokąd? Co pokazać?!

— Co — pytasz?

Szybko przypominałam sobie słowa i pytania, jakie zadawał mi kiedyś spowiednik. Przyszykowały, wywołane pasją:

— Pokaż nieskromne miejsce, którego byś się wstydzila pokazać przy ludziach. Pozwól się dotknąć...

— Pozwolić się dotknąć...?

Isia patrzyła na mnie, ale jej oczy powędrowały już gdzieś poza mnie. — Komu pozwolić się dotknąć?

— Komu...? — krzyknęłam zaperzona i speszona.

Speszona, bo na tyle tylko starczyło mi impetu i... wyobraźni.

Ostatnie słowa zatarły mój powstrzymany płacz i wściekłość na siebie samą. Wybiegłam z pustej klasy, bo czułam, że broda mi drży i wargi dygocą. Ale — zapamiętałam twarz Isi. Trzymając się za czerwony jeszcze od uderzenia policzek, przygryzała usta, patrząc gdzieś w bok, w ogród. Ale to chyba myśli jej powędrowały w ogród. A potem? Stała się rzecz, której ja nie przewidziałam. Isia wypadła z klasy, przebiegła obok mnie i popędziła w ogród.

Była to właśnie półgodzinna przerwa między popołudniowym odrabianiem lekcji w budynku szkolnym a kolacją; przerwa przeznaczona na przejście ze szkoły do klasztoru i na umycie się przed posiłkiem. Wychyliwszy się z okna, widziałam jak Isia dobiegła do skrzyżowania alei, zatrzymała się i — zamiasot do klasztoru — pobiegła, przechylona za krzakami porzeczek, w stronę przeciwną. Dokąd ona pędzi? — myślałam. Nagle... zrobiło mi się gorąco. Uprzytomniłam sobie, że za chwilę Isia dobiegnie do klombu ze sztampowymi różniami, na którym pracował pomocnik ogrodnika, piętnastoletnie, rosłe chłopczyko o wypomadowanej głowie i syplących się klaczkach wąsików na spalonej suchawatej gębie. On to nieraz, gdy ogrodnika nie było przy nim, a siostrze przy nas, mrugał bezczelnie do dziewczynki i kiwał na nie. My, młodsze, opuszczaliśmy wtedy wstydliwie oczy, ale starsze chichotały między sobą i coś sobie szepciem opowiadały.

Patrzyłam teraz jak głowa Isi zniknęła za ostatnim krzakiem i — nie mogłam stóp oderwać od podłogi. Po co ona tam biegnie? Co ona chce zrobić? Otartam spocone czoło, wyszłam oszolomiona. A potem nagle poderwałam się i zaczęłam biec, niesiona trwoga, wyrzutami sumienia i myślą: trzeba coś zrobić, czemuś zapobiec, szukać ratunku, żeby z Isią nie stało się coś strasznego. Przed oczyma sławiały mi twarze: księdza prefekta,

siostr, u których mogłabym była szukać pomocy, ale twarze migaly, jak drewniane słupy telegraficzne w pędzącym pociągu. Biegłam zrozpaczona, aż wreszcie pojawiła się przede mną jedna twarz: siostry Gertrudy.

O tej wesołej, wysokiej, szczupłej i pięknej siostrze Gertrudzie, skłonnej do śmiechu i do nierwowych wybuchów złości, mówiono, że wstąpiła do klasztoru bez powołania i z niewiedzionej miłości i urażonej dumy. Siostra ta, podczas majowych wycieczek do podmiejskich lasów, nieraz, uśmieszliwie zgrabnie habit, biegła z siołdmo i ósmioklasistkami, bawiła się z nimi w chowanego, a kiedyś potrafiła nawet odpowiedzieć na pytanie jednej z dziewczynki „Czy wypada młodej panie upuścić chusteczkę, aby ją podniósł i podał chłopiec, którego chce się poznać?” — „Ach, nie, nie wypada, ale — tu nastąpiła kaskada jej wspaniałego, sopranowego śmiechu, podobnego do lodowatych kropli górskiego potoku — ale ja sama tak robiłam... — kończyła — oczywiście, kiedy nie byłam jeszcze w klasztorze...”

Wykształcona, władająca kilkoma językami, po wyższych studiach za granicą, rozmawiała z nami, nauczycielstwem, a nawet z księżmi bywającymi w klasztorze, jakoś zupełnie inaczej, niż wszystkie zakonnice: bez jezuosowania, bez spuszczenia oczu, przeciwnie, ze swadą światowej młodej osoby. Cywilnie, jak mówily starsze.

Biegłam teraz do niej. Przecież ona zrozumie. Będzie wiedziała co grozi Isi. Choćby jej nie opowiadać wszystkiego, ale wyrzucić parę bezładnych słów, na jakie stać mnie było teraz. Przecież to ona, grywając starszym do tańca na corocznej karnawalskiej zabawie, potrafiła pod nieobecność innych siostr wplatać do dozwolonych polecek i walczyków strzępy zakazanych modnych piosek, szlagierów w rodzaju „Pamiętam twoje oczy dzikie, z rozkoszy nieprzytomne...” i szybko wracać do walczyka, mrucząc przy tym porozumiewawczo oko. Starsze przepadały za Gertrudą. Wiedziały, że ona je zna i rozumie.

Dysząc ze zniechęcenia, przemierzyłam w szalonym biegu aleję między rzędem jabłoni a wysokim klasztornym murem, oddzielającym nas od świata. Byłam już na schodkach wiodących do owego korytarzyka, skąd dwoje drzwi prowadziło do pokojów siostry przełożonej i księdza prefekta. Stałam na chwilę, aby złapać tchu i zastanowić się, gdzie może być teraz siostra Gertruda, gdy nagle z otwartego okna pokoju prefekta dobiegły mnie jakieś z trudem przyciszane głosy. Jeden z nich był na pewno głosem siostry Beaty, drugi — księdza prefekta, trzeci — tak, niestety, trzeci był głosem siostry Gertrudy. A więc nie będę mogła prosić jej teraz o ratunek. Ale nagle — odezwał się czwarty głos, który mnie tak przeraził, że na chwilę zapomniałam, po co tu biegłam. To był głos pana Zarebskiego, ojca Isi. Zrozumiałam w lot: jeżeli jego zdążyły już zwęzać telefonicznie, no to za chwilę powinien usłyszeć głos mojej matki. A więc wbrew naszym obliczeniom siostry nie myślały nawet o publicznym upokorzeniu nas dla przykładu, ale zdecydowały się z miejsca usunąć nas ze szkoły.

Stało się. Posuwająca się ku mnie groźna góra ambicji i nadziei mojej matki nagle zwała mi się na głowę. Ale nie to było straszne, że miałam się od tej pory petać pod dworską szwalni moich bogatych krewnych (w los gęsiarki nigdy nie wierzyłam), najgorsze było to, że do końca życia będę mnie zadreżwały bolesne, zawiędzone, pełne wyrzutu oczy mojej matki, marzącej, aby na stare lata odsunąć od siebie łaskawą pomoc bogatych, ale niezbyt łaskawych krewnych i przejść na chleb własnego dziecka. Na swój, należny jej chleb.

Ciąg dalszy nastąpi.

NOŚCI

„Samotności do ciebie biegnę
jak do wody
Z codziennych życia upalów;
Z jakąż rozkoszą padam
w jasne, czyste chłody
Twoich niezgłębionych
kryształów.
Nurzam się i wybijam
w myślach nad myślami,
Igram z nimi jak z falami,
Aż ostygły, znudzony, złoże
moje złozieli
Choć na chwilę w sen
głębokim”.

Ale jednak zauważcie, moi drodzy, Mickiewicz mówi: „na chwilę”. Na chwilę tylko pragnie się pograć w tej samotności. Bo zaraz w następnej strofie mówi: „...ach, za cóż te jasnych wód szczyby Studzą mi serce, zmysły zaciemniają mrokiem, I za cóż znowu muszę, na kształt ptaka-ryby? Wyrwać się w powietrze, słońca szukać okiem?” A więc i Mickiewicz twierdzi także, że samotność dla człowieka może być tylko chwilowym odpoczynkiem, bo na dłuższą metę jej „jasnych wód szczyby” jak się poetycko wyraża „studzą mi serce, zmysły zaciemniają mrokiem”. Człowiek musi wrócić pod groźną utraty normalności do ludzi, do wspólnoty, do zbiorowości. Wprowadzić w weszłym wieku modne były takie ucieczki, zwłaszcza wśród artystów, z

kręgu zurbanizowanej kultury europejskiej w odległe egzotyczne krainy ludów pierwotnych. Tak np. sławny malarz francuski, Paul Gauguin wywedrował na dalekie wyspy Oceanu Spokojnego, a głosny poeta Artur Rimbaud do Abisynii. Ale ich ucieczka do samotności była jednak pozorną. Szukali właściwie nie samotności, tylko inności. Uciekali nie od ludzi i kultury w ogóle, tylko od ludzi i kultury w Europie, do innych ludzi i do innych form kultury, aby potem, wróciwszy, wzbogacić ludzi w Europie o nowe doświadczenia, a kulturę europejską o nowe, bogatsze elementy.

Krótko mówiąc, absolutna samotność jest dla człowieka nieosiągalna. Z chwilą jednak, kiedy ją osiągnie, przestaje być człowiekiem. Naturalnym środowiskiem człowieka cywilizowanego jest wspólnota ludzka, współzycie, zbiorowość — podobnie, jak dla ptaka powietrze, a dla ryby woda.

A propos czego ten artykuł? A propos tych wszystkich, którzy powiadają, że mają już dość tego wszystkiego, co się naokoło dzieje, że najchętniej uciekliby, gdzie ich oczy poniosą, na kraj świata — w absolutne odosobnienie — w samotność.

He, he, naiwne złudzenie!

Redaguje Zespół. Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka”
Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 56, Tel. 344-78
Warunki prenumeraty: miesięcznie 4,- zł, kwartalnie 12,- zł
Redakcja nie zamawia reklam pocztowych, listonosze oraz PUPKI
Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPKI
„Ruch” — Łódź, ul. Roosevelta 17, Konto PKO — Łódź 7 — 6-379
z oznaczeniem na „Ogłoszy”
Druki RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17, Z. 2312. VII 58. M-4.

odgłosy str. 7

O POECIE, KTÓRY WIEZIE SWÓJ CZAS NA OSŁE

„Ludzie są co prawda biedni, ale nudzi mnie ich przeszłość i przyszłość erotyczno-patriotyczna...”

Autorem przytoczonego trójwiersza jest J. S. Sito — młody poeta emigracji. Jego poetycki debiut ukazał się ostatnio w wydawnictwie krajowym. Dwa czynniki określają tę poezję: oddalenie od kraju i specjalny stosunek do tzw. świata zewnętrznego. Oczywiście oba warunkują się wzajemnie i wzajemnie uzupełniają. Powyższy trójwiersz w sposób jednoznaczny głosi niejako credo ideowe i zarazem artystyczne poety. Ponadto w tytule swojego tomu autor komunikuje czytelnikowi, że „wiezie swój czas na osłę”. Jest więc to poeta egzystujący poza sporami ideowymi i politycznymi wieku XX, poeta zasadniczo oddalony od spraw, którymi pasjonował się kiedyś Wiktor Andrzej Butny (takim fikcyjnym nazwiskiem określił Tuwim grupę tzw. „pryszczatych” poetów).

Obok tendencji — jeśli wolno tak to nazwać — baśnowo-balladowych (Święty Marek) — dochodzą do głosu w tomie pewne tendencje „realistyczne” (Poemat patologiczny). Wyszukane tytuły, z zastosowaniem inwersji, rodem być może z poetyki madrygału, wnoszą elementy niby-patosu. Liryka Sito zasługuje w pewnym sensie na miano liryki impresyjnej. Ogląd morza czy nieba, ulicy Ormeley w porze deszczowej, „grzysk jesieni” — staje się pretekstem do notatki poetyckiej. W jego tomie daje się zauważyć zjawisko, które można określić mianem witalizmu statycznego. Różni się więc ten witalizm dynamicznie od witalizmu dynamicznego wczesnych tomów K. Wierzyńskiego.

Jak rzekłem wyżej, świat zawsze jest dostrzegany przez poetę w wymiarze spotęgowanym, udziwnionym, nieprzeciętnym.

Poezje Sito zaludniają więc rekwiizyty specjalnego typu: na marginesie delikatnych parafraz stylu biblijnego, czasem nawet hierarchiczności biblijnej uprawomocnione są pewne rekwiizyty religijne („Izawousty archanioł”). W innych sferach treściowych drzemają i śpiewają koty Jupitera, lub „zau-

roczone zmierzchem koty jak czarne klarnety” trwają na płotach. Wszystkie te rekwiizyty i pierwiastki zmieszane w retorce poezji imagistycznej (bo i na takie miano zasługuje chyba poezja autora) „Wiozę swój czas na osłę” tworzą uroczy i niejednokrotnie oryginalny amalgamat poetycki. Posłuchajmy zresztą poety:

„...O godzinie której nie pamiętają zegarki najmniejszych słowików mierzonej wahadłem ogona kot jupiter przed kominkiem śpiewa bezruchem...”

(Elegia, Którą Kot Jupiter Śpiewał Z Żalu Za Siracynym Czasem).

„We włosach, niby wieniec szeleszczących jezuitów albo swąd palonego mięsa, usiadły cmy — czyżki słonecznej Japonii: Już przyleciały ciche cmy, już jest ich wiele, wiozą miauczącą śmierć i oczy jak popielec. Cmy ciemne — chrząst płomienn...”

(Słowo o świadkach oskarżenia).

Po przeczytaniu wierszy zawartych w tomie można mówić nie tyle o wpływach i o tendencjach, jakim zdaje się ulegać Sito. Wymienić można nazwiska Przybosa, Różewicza, Gałczyńskiego, Federico Garcia Lorca. Nie na ich kanwie zasadniczej, ale raczej na marginesach ich poetyki kreuje swój świat Sito. Rzecz charakterystyczna, Sito mieszkał w Anglii, czytany zapewne tego w anglosaskiej poezji, nie ulega zbyt silnej jej wpływowi.

Na zakończenie odnotowuję jeszcze w pośpiechu: w dwóch cyklach poetyckich „Carmina humanitatis” i „Człowieku o siedmiu twarzach” dochodzą do głosu prawdziwie humanistyczne tendencje tej poezji. Tutaj też najsilniej i subtelnie młody poeta dotyka zagadnień naszego czasu. I jeszcze jedna uwaga: język Sito jest precyzyjny, skrótowy, ślisko metaforyzowany, przy czym metafora nie jest elementem sztuczności. Staje się natomiast środkiem poetyckim lepiej wyrażającym myśl. To w zasadzie wszystko, jeśli w skróconych uwagach można ogarnąć interesujący debiut.

Zmiast Brentano

Jak donoszą z NRF, trener państwowej reprezentacji piłkarskiej tego kraju, Sepp Herberger, otrzymał petycję, podpisaną przez kilkaset osób, które domagają się, by objął on urząd ministra spraw zagranicznych na miejsce Brentano. Zdaniem autorów petycji, piłka nożna jest najskuteczniejszym narzędziem poprawienia stosunków międzynarodowych.



Patron skoczków

Na łamach tygodnika „L'Espresso” ukazał się artykuł, którego autor, włoski duchowny Popolizio, proponuje proklamowanie patronem spadochroniarzy św. Józefa z Copertino. Święty ten unosił się podobno w ekstazie religijnej w powietrze, po czym bez szwanku opuszczał się na ziemię.

Stewardessa z Bochni

Niedawno ogłoszono najpiękniejszą stewardessą świata Żydówkę Har El, która przyszła na świat w Bochni, a okupację spędziła u siostr w klasztorze.

Czou-En-lai z łopata

W pobliżu Pekinu budowany jest ogromny zbiornik wodny, który zaopatrzy stolice Chin w wodę do picia. Przy budowie pracuje na równi z robotnikami 540 ministrów, kierowników centralnych instytucji i działaczy partyjnych z premierem Czou En-lajem na czele.

Perspektywy

Jak ustalili radzieccy badacze przebywający na Antarktydzie, stopnienie lodów, pokrywających południowy ten kontynent, podniosłoby poziom wszystkich oceanów o 45 metrów i w rezultacie szereg wielkich miast portowych (m. in. Nowy Jork) znalazłoby się pod wodą.

Klin klinem

W ostatnim okresie, poczynając od wybuchu puczu algierskiego, w paryskiej prefekturze policji zarejestrowanych zostało 42 nowych ugrupowań politycznych, których wspólnym celem jest „walka z partyjnością i skłóceniem politycznym”.

Podsądny

Sąd apelacyjny w Neapolu skazał amerykańskiego obywatela Dwighta Eisenhowera (tak, tak, prezydenta!) na zapłacenie niejakej pani Rosie Novavo sumy półtora miliona lirów, należnej jej za pracę w kwaterze głównej floty amerykańskiej od maja 1952 r. do grudnia 1954 r.

Jak nie płacić podatków?

Według amerykańskiej statystyki w Stanach Zjednoczonych 3,5 miliona osób nie

posiada stałego miejsca zamieszkania, lecz koczuje w przyczepach do samochodów osobowych. Okazuje się, że stosownie do amerykańskiego ustawodawstwa koczownicy nie płacą podatków.

Korespondencja

Do kanclerza NRF Adenauera napływa codziennie przeciętnie około 400 listów od obywateli. Wielu z nich zwraca się z prośbą o znieszenie ubrania, pożyczki pieniędzy itd. Natomiast liczba listów miłosnych ostatnio wyraźnie zmalała. Jak wiadomo, Adenauer ma 80 lat.

Grunt to zdrowie

Gdy w Bundestagu doszło do gorącej sprzeczki pomiędzy deputowanymi CDU i SPD, wiceprzewodniczący Izby Preusker zawołał: „Moł panowie nie unosić się! W naszym wieku trzeba już pamiętać o naciśnięciu!”.

Szczęśliwy mąż

Małżonek Marleny Dietrich stwierdził, że ma zamiar być do śmierci wierny swej żonie, z którą pozostaje we wspólnym związku już kilkadziesiąt lat. Poza tym dodał on, że w jego małżeństwie nie mogą się pojawić przyczyny dla rozwodu, ponieważ aktorka spędza z nim razem „tylko kilka dni w roku”.

O gwiazdach

Podczas przyjęcia słynna gwiazda filmowa Greta Garbo podszła do okna i patrzyła na niebo pełne gwiazd. Ktoś spytał ją: „Na co pani patrzy?” „Na innie” — odrzekła Greta Garbo bez namysłu.

Alternatywa

Aktor Kirk Douglas w następujący sposób ostrzegł niedawno swych męskich przyjaciół: „Jeśli przy marynarce brak wam często kilku guzików, macie do wyboru: ożenić się lub rozwieść”.

Szczerość

Zapytano Brigitte Bardot, który dzień był najpiękniejszy w jej życiu. Aktorka odrzekła: „Pewna noc”.

Kobiece kaprysy

Włoska aktorka Paula Borboni tak oto zdementowała słabość kobiet: „Kobiety woła usłyszeć, że nie mają racji wówczas, kiedy ją mają — niż wtedy, kiedy naprawdę jej nie mają”.

Niedozwolone

Jak podawaliśmy naszym czytelnikom kilka tygodni temu, ex-mąż B.B. Roger Vadim miał zamiar zrealizować film oparty na okrzykniętej powieści Ugo Pirro „Dziewczynki dla wojska”. Władze naczelne kinematografii francuskiej odrzuciły jednak w sposób niedwuznaczny podjęcie prac nad tym filmem, podobnie jak to miało miejsce uprzednio we Włoszech. Uparty producent francuski, który zakupił prawa filmowej adaptacji powieści, polecił autorowi i znanemu scenarzystę Sergio Amielei opracowanie nowej wersji scenariusza, bardziej zgodnej z duchem książki, niż okrojona dla użytku cenzury wersja poprzednia. Nawiał on

już kontakty z amerykańskim reżyserem Martinem Rittem, twórcą m. in. „Dni chwały” i „Długiego gorącego lata” (film wyświetlany na ostatnim festiwalu w Cannes). Ritt już od dawna interesuje się książką Pirro. Zobaczymy co na to powie cenzura amerykańska?

Obyczaje a nauka

Rektorat College w Woodland Hills (Kalifornia, USA) wydał zarządzenie zabraniające studentkom przybywania na wykłady w szortach. Ciało pedagogiczne ustaliło bowiem, że od czasu, kiedy studentki zaczęły na wykładach zjawiać się w szortach, wyniki w nauce u męskiej części słuchaczy wybitnie się obniżyły.

W Pakistanie inaczej

W Indiach wydany został niedawno zakaz prostytucji, który wywołał wiele niezadowolonych wśród kobiet zajmujących się tym procederem. Natomiast prezydent Pakistanu, Iskander Mirza, który odniósł się bardzo krytycznie do posunięcia władz hinduskich, oświadczył, że w Pakistanie o czymś podobnym nie ma mowy.



Powód do rozwodu

Jak głosi orzeczenie sądu najwyższego w Holandii, używane często w małżeństwie określenia w rodzaju „dzióbku”, „gąsko” lub „małpeczko” są obraźliwe i stanowią one powód do ubiegania się o rozwód.

Zaproszenie

Wicepremier ZSRR Mikojan zaprosił prywatnie do Moskwy panią Ninę von Fehlseisen która oprowadzała go po pawilonie niemieckim na Expo-58 w Brukseli, udzielając radzieckiemu gościowi informacji w pięknym rosyjskim języku.

Kaprysy Schachta

Hjalmar Schacht, znany ekspert bankowy Hitlera i jeden z oskarżonych na procesie norymberskim, odwiedził niedawno kasyno gry w Lindau nad Jeziorem Genewskim. W miejscowym hotelu Schacht odmówił jednak wypełnienia formularza meldunkowego. W miejscu, gdzie powinny się znajdować dane personalne, Schacht napisał: „Schacht, patrz encyklopedia”.

Ostatnia szansa

W czasie przerwy obiadowej na gmachu londyńskiego urzędu stanu cywilnego wywieszony jest napis o następującej treści: „Przerwa obiadowa. Wykorzystaj ten czas, by raz jeszcze w skupieniu zastanowić się nad tym, co chcesz uczynić”.

Konkurent

Pewien wyższy urzędnik poczty francuskiej, nazwiskiem André Malott, został skazany na karę 20 tysięcy franków za podsłuchiwanie rozmów pomiędzy redakcją pisma „Express” i jej korespondentami. Podśłuchane informacje prasowe Malott

przekazywał konkurencyjnej gazecie.

Skrucha

Trzech chłopców ze szkoły w Escanaba (Michigan, USA) skradło 125 dolarów. W dwie godziny później wrócili oni na miejsce przestępstwa, oddając właścicielowi 120 dolarów. Jak oświadczyli, po skradzeniu pieniędzy udali się od razu do kina na film „Dziesięcioro przykazań”, który wywołał w nich skruchę za popełniony czyn.

Nerwy

W pobliżu lotniska Zweibrücken (Palatynat, NRF), gdzie stacjonuje kanadyjski ewadron odrzutowców, zniknęły od pewnego czasu dziki. Miejscowi leśnicy są jednoznaczni co do tego, iż hałas startujących i lądujących odrzutowców działał dziwnie na nerwy.

Twardogłowy

Znany karykaturzysta Olaf Gulbransson wypadł niedawno z balkonu swej wiejskiej willi. Po wypadku tym Gulbransson oświadczył: „Nie spadłem daleko, nie więcej niż cztery metry — i przy tym dzięki Bogu na głowę”.

Apel

Jak pisze „Neues Deutschland” z 5 czerwca 1958, zespół taneczny Hettstedter Werke ogłosił apel wyzywający do pracy kulturalnej na wsi. „Śpiewamy, gramy i tańczymy na rzecz zwycięstwa socjalizmu w całych Niemczech!” — głosi apel zespołu.

Komfort dla psów

Jedna z berlińskich gazet tak informuje w ogłoszeniu o hotelu dla psów, mieszczącym się w berlińskiej dzielnicy Zehlendorf: „Spokojne położenie w lesie, pełne utrzymanie, świeże mięso i ciastka dla psów (Hundekuchen), doskonała obsługa, mały basen pływacki w ogrodzie oraz słoneczne tarasy”.

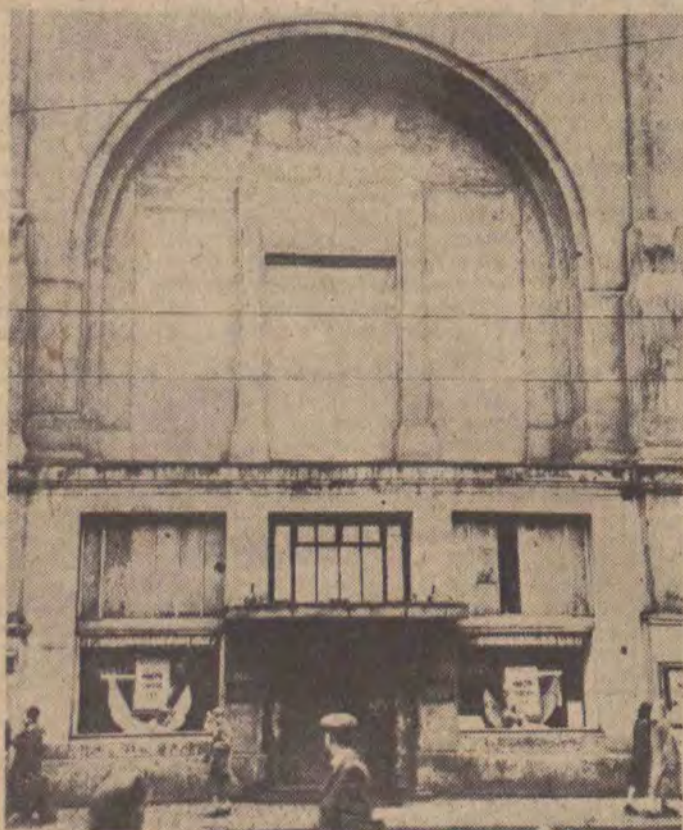


Religia i kierowcy

Diecezja w Augsburgu (NRF) zamierza przy autostradzie monachijskiej wybudować pierwszy tzw. „autostradowy kościół Niemiec”, aby, jak głosi oświadczenie diecezji, „spieszącym się automobilistom dać możliwość spełnienia swych religijnych powinności”.

Królowa a piłkarze

We Francji piłkarskie zawody cieszą się większym powodzeniem niż wizyta królowej angielskiej. W czasie wizyty brytyjskiej monarchini liczba sprzedanych telewizorów wzrosła bowiem jedynie o 15 procent, podczas gdy zapowiedziana transmisja piłkarskich mistrzostw świata w Szwecji — spowodowała zwiększenie sprzedaży telewizorów o 20 procent.



Fot. G. Pucciatto
Fronton Filharmonii Łódzkiej

aspazja

ILUSTR. J. BIS-GRATKOWSKI

— 55 —



Otworzył więc włąz i głową na dół skoczył w otchłań. Wobec naszej wysokości, gdyby nie było zastony elektronowej, stałby się naszym towarzyszem w krążeniu wokół Marsa i jeszcze jednym jego, na ten raz — najmniejszym, satelity. Zabity temperatura równa zeru absolutnemu, w ciągu kilku sekund stwardniałby na stal, zeszywniał na wieki — i tak, niezmienny, wiecznie trwający w tej swojej powłoce, krążyłby naokoło Marsa, obiegając go w ciągu dwóch tygodni.

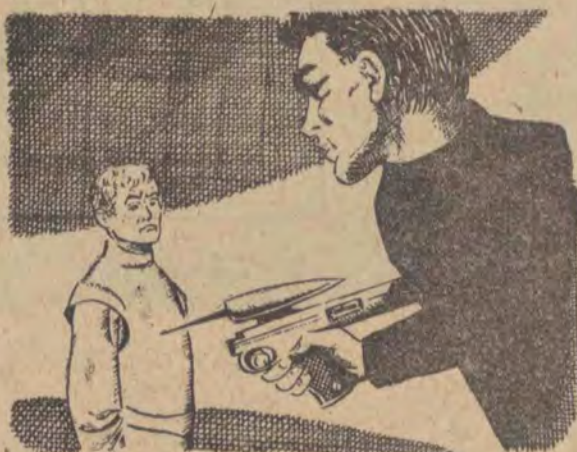
Tak by się stało, gdybyśmy nie byli otoczeni zasłoną elektronową, składającą się z bezmiaru elektronów rozprzeczonych do szybkości światła. Przeleciał więc siłą odbicia poprzez niedużą warstwę izolacyjną, składającą się z próżni, i trafił w strefę pedzących elektronów. Tam w ułamku sekundy sam przemienił się w rój luznych, niczym nie związanych ze sobą elektronów. Elektrony te trafiły w sferę działania pojętych magnesów, niezwłocznie uległy przyspieszeniu i w porywającym pędzie zaczęły krążyć wokół „Glorii”. Tak więc nie opuścił nas profesor Carrocci, tylko zmienił swoją postać.

Śmierć tego wielkiego uczonego była dla mnie dotkliwym ciosem. Dała mi wiele do myślenia, wstrząsnęła mną — i zdołałem się opanować do reszty. Zwalczyłem w sobie miazmaty marsyjskiego zatrucia i na nowo stałem się człowiekiem. Postanowiłem pójść za jego radą i jak najszybciej wracać na Ziemię, przedtem jednak chciałem uczynić próbę ratowania tych, którzy byli w rękach Aspazji.

Przemówiłem do załogi:

— Jestem teraz, po śmierci profesora Carrocci, waszym dowódcą do chwili, gdy powróci admirał. Jesteście mi winni posłuszeństwo i jesteście zobowiązani do zachowania spokoju i dyscypliny. Byłem otumaniony tak samo jak i wy, ale otrząsnąłem się i na

— 56 —



powrót stałem się normalnym człowiekiem. Widzicie więc, że otrząsnąć się można, trzeba tylko chcieć. My z Barrotem wam pomożemy. Mamy duży zapas novocardiny. Z początku musicie sami dążyć do tego, aby się oszołomić tym narkotykiem i sztucznie wywołać w sobie obojętność. Później przyjdzie stopniowo opamiętanie i powrót do równowagi.

— Powiadamiam was — mówiłem dalej — że już złożyłem za pośrednictwem doktora Freyda ultimatum Aspazji. Jeśli w określonym terminie nie odeśle nam naszych ludzi, wyrzucimy na Marsa wszystkie nasze subbomby typu B. Następnie wracamy na Ziemię.

Po tym moim przemówieniu rozległy się z różnych części „Glorii” okrzyki gniewu i wściekłości, jakieś wycie i zawodzenie. Wilczyca Aza, która od wyjazdu admirała ciągle biegła po „Glorii”, jakby szukając go, teraz usiadła przed naszymi drzwiami, podniosła pysk do góry i zaczęła wyc.

Byłem przygnębiony i zmęczony, ale zdecydowany na wszystko. Postanowiłem za wszelką cenę ratować swoich towarzyszy. Trzeba ich było traktować jak ciężko chorych, którzy ulegli zbiorowemu zatruciu. Byli przecież zahipnotyzowani.

Li Miao Tai zgłosił się do mnie jako parlamentarzysta. Pierre stał przy drzwiach z pistoletem zielonych promieni w garści, a ja rozmawiałem z przybyłym. Lubiałem tego człowieka i szanowałem. To był głęboki umysł. Zylisnęły ze sobą w prawdziwej przyjaźni.

— Proszę cię — powiedział — abyś tych ludzi zwolnił i pozwolił nam odlecieć do Aspazji.

— Nie — odpowiedziałem — i dziwi mnie twoja

— 57 —



prośba. Chyba wiesz, że po śmierci profesora Carrocci ja jestem dowódcą załogi „Glorii”. Ja odpowiadam przed światem za całość rakiety i za życie tych ludzi. Macie mnie słuchać i wykonywać, co rozkażę!

Niespodziewanie wydał przeraźliwy świst i obalił mnie na podłogę, stosując jakiś znakomity chwyt dżudo. Nie przewidziałem takiego zakończenia naszej rozmowy i dlatego nie zdołałem się obronić. Było to nikczemne zaskoczenie, podła znowa.

Pierre rzucił się na ratunek i wdał się w walkę z Li, ale tymczasem wpadła ich cała hurma, przywalij nas ciężarem swoich ciał, trochę pęturbowali i związali jak barany.

Przenieśli nas do klubu i rzucili na kozetki. Niezwłocznie uzyskali połączenie z Marsem. Dwie „Agi” w krótkim czasie przewiozły ich wszystkich na ląd marsyjski. Nie wiem, czy zapomnieli, czy odezwały się w nich jeszcze resztki sumienia, ale w każdym razie nie usiłowali zjechać na dół w „Glorii”. Nie skasowali również osłony. Przy startach i powrotach komonetek automaty same wyłączały osłonę na kilka sekund.

Ostatni odjeżdżał Wanke, Jejack i nasz wielki astronom Cronenstraem. Rozwiązali nas, ucałowali, pożegnali się ze sobą w oczach. Jeszcze w tej ostatniej chwili błagałem ich, aby się opamiętali, ale ich straszliwa miłość do Aspazji była silniejsza niż wszystko na świecie.

Widziałem przez lornetę, jak stali na skraju płaskowzgórza. Z daleka, jak srebrna plama, błyszczały ich skafandry. Potem przyleciała czarna gąsienica marsyjska i za chwilę gdzieś ich powiozła.

(D. c. n.)

TRIUMF NOWEJ TAKTYKI

(Dokończenie ze str. 2)

fensywa na Pacyfiku, kierując się, zgodnie z założeniami, na archipelag Gilberta. Dokładnie w tym samym czasie w strefie Morza Koronowego była następująca sytuacja: w rejonie Wysp Salomona, Amerykanie zostali zatrzymanii na Bugainville, odpierając zaciekłe kontrataki nieprzyjaciela. Na Nowej Gwinei, pomimo upadku Lae i Finschhafen, front japoński ustabilizował się, przegradzając Amerykanom dostęp do doliny Ramul. Była już o tym mowa i nasze poprzednie relacje posunęły znacznie bieg wypadków w tej strefie.

Wyspy Gilberta, składające się z dziesiątków różnej wielkości atolów, oplecionych rafami koralowymi, zostały przemienione przez Japończyków w potężne twierdze i bazy lotnicze. Samoloty startujące z Wysp Gilberta zagrażały wciąż swobodzie manewrowej floty amerykańskiej, zmuszając ją do nakładania drogi ogromnym lukiem poprzez Fidzi i Nowe Hebridy.

Uderzając na Wyspy Gilberta wybraли Amerykanie północny ich skraj: atole Makin i Tarawa. Oba atole były silnie ufortyfikowane i posiadały lotniska. Wszystkie pozostałe wyspy archipelagu były również umocnione i przystosowane jako bazy lotnicze. Niemniej jednak Amerykanie nie zamierzali już powtarzać swych starych błędów z poprzedniej kampanii i zdobywać każdą wyspę osobno. Opanowaniem Makin i Tarawy spodziewali się odizolować resztę wysp i zmusić je do kapitulacji głodem.

Przebywszy 2.500 mil od Pearl Harbor, podplynęła pod Makin ogromna flota i przykryła wyspę

huraganowym ogniem. Tego samego dnia wylądowały na wyspie dwa bataliony piechoty morskiej wzmocnione artylerią i czołgami. Podczas gdy przez całą noc nie ustawał ogień artylerii okrętowej, dezorganizując obronę japońską, formacje desantowe poszerzały przyczółek i wstrzelały się z bezpośredniego dystansu w punkty obrony nieprzyjaciela.

Następnego dnia wylądowała na Makin reszta XXVII dywizji piechoty. Z tą chwilą mieli Amerykanie blisko 30-krotną przewagę. Po dwóch dniach uporczywej walki oczyszczono wyspę przy stracie ok. 200 zabitych i ponad 500 rannych. Makin broniło 300 żołnierzy japońskich. Wszyscy oni padli w walce.

21 listopada część floty inwazyjnej przesunęła się w rejon Tarawy i rozpoczęła wzmoczone bombardowanie małej wyspki koralowej Betio. Wyspka ta miała niecałe 5 kilometrów długości i 2 kilometry szerokości, była jednak kluczem do całego atolu Tarawa.

Gdy zmierzch zapadał wyspka Betio była jednym wielkim klebowiskiem ognia i dymu. Ostatnie eskadry samolotów nurkujących wracały na lotniskowce.

— Melduję, admirał, że do tej chwili wyrzucono na Betio tysiąc ton pocisków i bomb. Czy rozkaże pan zaprzestanie ognia?

Admirał Spruance wpatrywał się jeszcze długą chwilę w słup dymu na horyzoncie, po czym odwrócił się do adiutanta i powie dział wolno, akcentując każde słowo:

— Obliczaliśmy na każdy kilometr 200 ton. Rachunek jest prosty. Ogień należy więc kontynuować, dopóki nie będzie dwa tysiące ton.

W miejsce samolotów niech się włączą wszystkie ciężkie jednostki. Nie bądemy ryzykować ludzi tam, gdzie możemy postać żelazo.

W ciągu pół godziny włączyły się do akcji pancerniki i ciężkie krążowniki prowadząc ogień całą artylerią pokładową.

Po północy zameldowano admirałowi, że limit ognia jest osiągnięty. Wówczas gen. Smith ze swą II dywizją ruszył na barkach desantowych w stronę wyspki. Ogień nie ustawał, aż barki osiągnęły rafę koralową 500 m od plaży. Wtedy na moment zapadła cisza, aby po chwili ustąpić jęzgotowi szybkostrzelnych działek z barek desantowych. Rozpoczął się najkrwawszy szturm w dziejach amerykańskiego oręża.

Trzy znaczne ugrupowania szturmowe ominęły szczęśliwie rafę i wylądowały na plaży. Ale przyczółki posunęły się zaledwie 50 do 100 m w głąb i utknęły przed zmasowanym ogniem japońskiej obrony, która w tym piekle w jakiś cudowny sposób wyrosła spod ziemi. Dwie następne fale szturmowe wskutek odpływu osiadły na rafie koralowej i w jasnym świetle rakiet stały się ćwiczebnym niemiarem dla japońskich karabinów maszynowych.

O świcie ruszył japoński kontratak. Jeden z przyczółków, pomimo wprowadzenia do akcji czołgów, wśród krwawej walki został zepchnięty do morza. Dwa pozostałe broniły się rozpaczliwie i dopiero kontratak niszczycieli i samolotów nurkujących złamała atak nieprzyjacielski.

Znow wół ognia przykrył wyspę Betio. Metr za metrem, w brawurowym szturmie bataliony amerykańskie posuwały się wśród labiryntu lejów po własnych bombach

i pociskach. Szturm trwał pełne cztery doby. Kosztował Amerykanów ponad tysiąc zabitych i ponad trzy tysiące rannych. W żadnej dotychczas operacji na przestrzeni całej swej historii nie stracili Amerykanie tylu ludzi na tak małym terenie w tak krótkim czasie.

Wyspki Betio broniło 2.800 Japończyków. Ci, którym wobec braku amunicji groziła niewola, wierili do ostatka „boskiemu Hirohito” i popelnili harakiri, obracając swe twarze na północny zachód — w stronę pałacu cesarskiego w Tokio.

Od połowy grudnia powoli, ale systematycznie rozwijał się atak amerykański w strefie Morza Koronowego.

Po wysadzeniu pierwszych desantów na południowym zachodzie Nowej Brytanii, nastąpiły dalsze desanty od strony Morza Nowogwinejskiego. Tym razem teren nie był tak dziki i umożliwił wprowadzenie do akcji ciężkich czołgów typu „Scherman”. Posuwając się dość szybko z południa i północy dywizje amerykańskie oskrzydliły i zagroziły zupełnym otoczeniem znacznym ugrupowaniem japońskim operującym na zachodzie wyspy. Ugrupowania te podjęły odwrot, ale pierścień okrążenia zaciskał się coraz bardziej. Oś odwrotu, japońskiego ostanialo już tylko niewielkie wzgórze, oznaczone na mapach numerem 660. 4 stycznia amerykańskie czołwki podeszły pod wzgórze. Wywiązała się mordercza walka, podczas której „latające fortece” i samoloty bliskiego wsparcia zrzucały na niewielki obszar ponad tysiąc ton bomb rozpryskowych. Przez diesięcie dni i nocy wzgórze przechodziło z rąk do rąk. Dwóch japońskich generałów padło w walce, prowadząc kontrataki własnych oddziałów szturmowych.

Rankiem 14 stycznia nieprzyjaciel opuścił pozycję, Amerykanie

ostrożnie posunęli się naprzód, ale wkrótce okazało się, że oskrzydłone formacje japońskie, dzięki heroicznej obronie wzgórze 660, zdążyły się wymknąć z okrążenia. Trudno było walczyć z takim przeciwnikiem!

Tak czy inaczej japoński stan posiadania kurczył się coraz gwałtowniej. Dzięki nowej taktyce spadały na nich ciosy w najmniej spodziewanych miejscach. Druga potężna flota, kontynuując atak prawnym skrzydłem, popłynęła ku wyspom Marshalla. W zdobytych portach Salamaua i Bogadimo oraz na wyspach Triobriandzkich szykował się generalny atak na wyspy Admiralicji.

Amerykanie chwycili pełny oddech do wielkiej ofensywy.



Z przyczyn technicznych dokończenie

„ CZARNEGO MATWIEJA ”

przełożył

do następnego numeru

odgłosy 9

NAJOSTRZEJSZE OŁÓWKI ŚWIATA



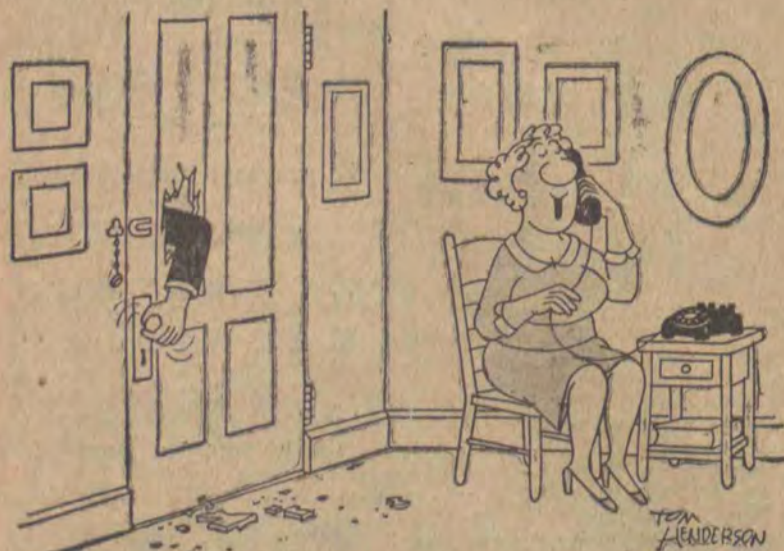
— Pokaż Zosi, jak umiesz stawać na głowie!



— Sala jest przepelniona, ale dla pana dyrektora zawsze znalazł się stolicek!



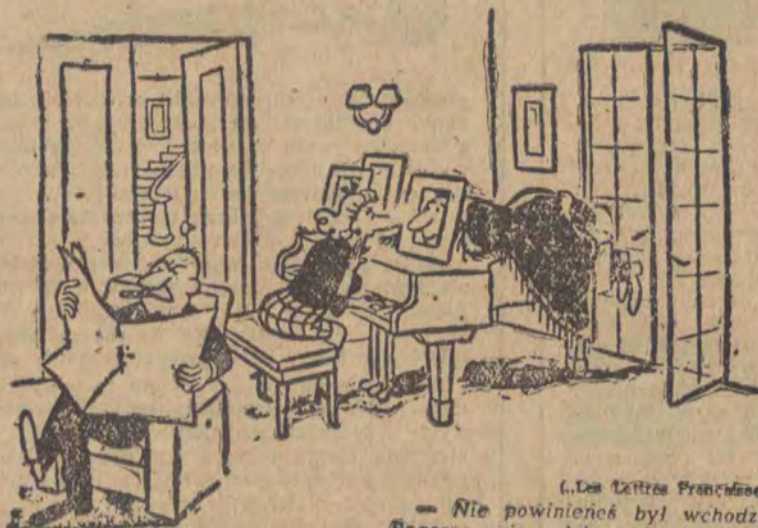
— On na pewno myśli, że ja nie zauważam, jak on przez cały czas zerka na tamą pannę.
(„Saturday Evening Post”)



— Zaczekaj chwilę, Doroto, zdaje się, że mąż puka do drzwi.



— Przerobimy jeszcze raz ćwiczenie. „Prezentuj broń!”



(„Les Lettres Françaises”)
— Nie powinien być wchodzić Rogerze; wiesz dobrze, że ojciec bardzo by się gniewał.

T O M

H E N D E R S O N

Przypuszczam, że dowcipy Toma Hendersona nie wszystkim trafią do przekonania. Rysownik amerykański reprezentuje gatunek humoru, prawie zupełnie nieznany w naszym kraju, który zresztą i w USA jest zjawiskiem dość wyjątkowym. Trzeba też dodać, że polskie gusta łatwiej przyjmują żarty Adolfa Dymyzy, niż pana Hulot — Jacquesa Tati.

Humor Hendersona polega na nonsense. O ile jednak gros rysowników z grupy „New Yorker” uprawia nonsense „intelektualny”, bardzo wykonywany, gdzie poin-ta dawcipu nierzadko jest starannie ukryta — to Henderson jest znacznie prostszy. Punktem wyjścia jego żartów są zwyczajne codzienne zdarzenia: „mąż puka do drzwi”, „kelner rezerwuje stolik”. Henderson doprowadza je jednak do karkołomnego absurdu, do sytuacji po prostu — idiotycznych.

Bohaterowie tych żartów — to też monstrualni idioci: zdają się zupełnie nie dostrzegać anormalnego zachowania swych towarzyszy, a i własne „stawania na głowie” traktują jak coś absolutnie naturalnego.

Ludzie, którzy przyjmują idiotyczną sytuację, jak by się nie wydarzyło... Zaraz, ta formuła coś przypomina... Naturalnie, na tej samej zasadzie budowano gagi w krótkich komediach, w okresie kina niemego. Tak właśnie — jak bohaterowie Hendersona — zachowywali się Charlie Chaplin i Harold Lloyd. Tyle tylko, że słynni komicy budzili sympatię, a ci obok są ośmieszeni z kretelem.

Trudno orzec, w jakim stopniu świadomie stosuje Henderson reguły komedii Maxa Senetta. Pozostaje jednak faktem, że w dziedzinie humoru rysunkowego pomysły jego są świeże i oryginalne.

A że nie wszystkim się podoba? De gustibus non disputandum...

W każdym razie niżej podpisany zalicza siebie do gorących zwolenników młodego rysownika.

J. W. :

WOJCIECH DRYGAŚ

KONKURS

Na zebranie przybyłem z opóźnieniem. Zająłem miejsce w ostatnim rzędzie krzesel i cały zamieniłem się w słuch.

— Przypominam panom i podkreślam — akcentowałem każde słowo osobnik o ptasiej głowie — że decyzje komisji nie mogą być stronnicze. Dziwi mnie przeto stanowisko kolegi Pietrzaka, który upiera się przy kandydaturze Kowalskiej...

— Ja się wcale nie upieram — zachrypiało w pierwszym rzędzie. — Ja biorę pod uwagę jej wymiary: wzrost 163 centymetry, obwód w biuście — 93, w tali — 72, w biodrach — 95...

— W biuście bije ją Plackówna — tylną oczami ptasia głowa. — O dwa i pół centymetra. I lepiej się porusza.

— W poruszaniu najlepsza Kmicicówna — zawyrokoła autorytatywnie grubas siedzący pod piecem. — Proszę też zwrócić uwagę na jej biodra: 93 centymetry! Tyle co „Miss Universum”!

Z pierwszego rzędu krzesel wzbija się do sufitu fala groźnych szmerów.

— Co tam? — zaniepokowała się ptasia głowa.

— Chodzi o te biodra — zachrypiało. — Biodra — biodrami, a życie nas uczy, że najważniejsza jest powierzchowność. Miła i bezpośrednia. Taką właśnie znajduję u Grzybowskiej. Przypominam jej wymiary: nogi — 143, ręce — po 58, wzrost — 175...

— Za wysoka! — huknął grubas. — Proponuję Puszczkę Elizawetę, wyjątkowa talia — 77 centymetrów...

— Puszczkę odpada, bo meżatka — skonstatowała ptasia głowa.

— W takim razie Walczakówna! Walczakówna ma wszystko co potrzeba. Idealne wymiary. A przy tym świetna aparycja.

— Sepłeni! — zachrypiało, — To żadna wada — denerwował się grubas. — Niektórym kobietom dodaje nawet uroku...

— Protestuję! — wytoczyła się na środek sali ptasia głowa. — Komisja nie może pozostać pod czyimś urokiem. Komisja działa bezstronnie. Najlepsza, moim skromnym zdaniem, jest Klipowiczówna!

— Klipowiczówna? — zdumiał się grubas.

— Dlaczego Klipowiczówna? — zachrypiało energicznie w pierwszym rzędzie.

— Dlaczego? — zmierzyla ich wzrokiem ptasia głowa. Klipowiczówna ma ręce i nogi, biust i talię, a poza tym jest szwagierką naszego sekretarza.

Grubas wciągnął przez zęby powietrze, jak człowiek podczas silnego cierpienia nerwowego.

— To zmieniła postać rzeczy — wysapał. — Ja zresztą zawsze gustowałem w kobietach tego typu...

— Istotnie, Klipowiczówna to klasa! — wyraziły aprobatę wszystkie krzesła w pierwszym rzędzie.

Ptasia głowa poweselała: — Wobec panującej na tej sali jednomyślności — zamykam dzisiejsze posiedzenie!

Poderwałem się z miejsca, przepychając w stronę stołu prezydiального.

— Jestem z prasy — wymieniłem nazwisko i funkcję. — Czy nie byłoby niedyskrecją dowiedzieć się bliższych szczegółów związanych z osobą nowowybranej „Miss”?

— Miss? — rozdziawił usta osobnik o ptasiej głowie. — Panie, gdzie my do takich rzeczy... My ludzie prości.

— Więc kogo, u licha, wybieraliście?

— Nową maszynistkę dla dyrekcji — wyjaśnił skromnie, po czym zapadło między nami straszliwe milczenie, które w powieściach nazywa się „milczeniem nabrzmiałym myślami”.



ZBIGNIEW NOWICKI

PRZYCZYNEK DO PRA-WSPÓŁISTNIENIA

Obozowisko łódzkiej ekspedycji wykopaliskowej w Węsiarach składa się z czterech małych i jednego dużego namiotu. Ekspedycja liczy oprócz kierownika jeszcze sześć studentek i studentów, kucharza oraz szesnastu robotników, Kaszubów. Niektórzy z nich, zatrudnieni już trzeci sezon wykopaliskowy — stali się swego rodzaju „fachowcami”. Ale największym archeologiem wśród „amatorów” — jest chyba kucharz, p. Wilk. Jego droga do archeologii — to temat naprawdę pasjonującej powieści.

Wilk ma już prawie 70 lat, siwą głowę i ujmującą szczerą twarz. Chłop z łowickiego, podczas pierwszej wojny światowej jako żołnierz carskiej armii dostał się do niewoli niemieckiej i zatrudniony został przymusowo w Elblągu. Tu przypadkiem pracować zaczął przy prowadzonych przez Niemców wykopaliskach archeologicznych, okazał się inteligentniejszy i bardziej pojęty od innych — zaproponowano mu stałą pracę przy badaniach archeologicznych, a potem w elbląskim Muzeum. Pozostał więc w Elblągu, zdaje się założył rodzinę — nie lubi o tym opowiadać. Wojna zniszczyła mu wszystko, co miał i co kochał. Pozostał sam, z całego swego dobytku ratując żelazną „wafelnicę” do roblenia ciastek. Objętość tą wafelnicą powędrował pieszo w rodzinne strony, przypadkiem wdepnął do muzeum łódzkiego — prof. Jazdzewski zaproponował mu zajęcie. Jest Wilk jednym z najlepszych preparatorów zabytków w łódzkim Muzeum, a latem kucharzem ekspedycji archeologicznych. Godzinami można słuchać jego wspomnień z przeróżnych wypraw naukowych niemieckich i polskich. Piętna, wspaniała postać — jakże troszczy się o każdego studenta, czy zjadł, czy nie jest głodny.

Niekiedy opadają go wspomnienia. Wówczas staje się smutny, ponury, trzęsąc siwą głową mówi: „Wojna trzy razy niszczyła mi wszystko. Za stary jestem żeby zacząć żyć od nowa...” W takich chwilach nawet archeologia nie znajduje w jego oczach uznania: „Po co ruszać tych biednych nieboszczyków?”

A jakże ich nie ruszać, jakże nie rozkopywać tych kurhanów, skoro odsłaniają tak trapiące tajemnice?

Rozdział V

Piękna Amalasueta — „Gothiscandza” i „Gepedolos”. — Czy Goci byli „herrenvolkiem”? — Koegzystencja, czy zależność?

W 214 roku cesarz rzymski Carakalla zetknął się z watahami germańskiego plemienia Gotów przybyłych nad Morze Czarne i Dunaj — „i gdy on ciągnął na wschód, w naprędcie rozegranych bitwach Gotów zwyciężał”, jak zapisano w źródłach rzymskich. Ojczyzną Gotów była jednak po-

łudniowa Skandynawia. Jakże się to stało, że nagle znaleźli się oni nad Morzem Czarnym? Którędy tam dotarli i kiedy wywodowali ze swej ojczyzny? — oto pytania, które od dawna trapią wielu uczonych na całym świecie. Bo Goci to nie jakieś tam jedno z wielu licznych germańskich plemion. To lud, który „w późniejszych latach zrobił zawrotną karierę polityczną w Europie”, jak to określił nasz wybitny historyk K. Tymieniecki.

Nad Morzem Czarnym zbudowali Goci potężne państwo Ostrogotów i Wizygotów, pod wodzą Alaryka złupili Ateny, Korynt, Rzym, pod wodzą Teodoryka Wielkiego opanowali Italię. Napisano o nich wiele książek, że wspomnę tu niedawno u nas wydaną powieść Hanny Malewskiej „Tak miła postać świata”. Pisarzy intrygowały historie o królowej gockiej, przepięknej Amalasueta i jej zdegenerowanym synu Atalaryku, o jej krewnym i współkrólu Teodahadzie, o mądrym Kassjodorze, ministrze ostrogockiego króla Teodoryka. Tenże Kassjodor w latach 526—533 na rozkaz swego władcy napisał „Historię Gotów”, niestety — jak mówią historycy — „zachowana tylko w nędznym wyciągu”, sporządzonym w 551 roku przez Jordanesa, mnicha i Gota z pochodzenia, który gdy Ostrogoci zeszli z areny politycznej świata, zapragnął pamiętać o nich ocalić na kartkach swej książki, noszącej tytuł: „De origine actibusque Gotarum”.

„W swej „Historii Gotów” opowiada Jordanes w legendarnej formie, że pod wodzą króla Bericha przybyli Goci ze Skandynawii drogą morską na trzech okrętach i wylądowali na wybrzeżu, które nazwane przez nich zostało „Gothiscandza”. A było to ni mniej ni więcej tylko nasze wybrzeże Bałtyku. Jak pisał Jordanes — „na wyspie, którą tworzy delta Wisły osiadł szereg gocki Gepidów i nazwał ją Gepedolos”. Stało się to chyba gdzieś na początku naszej ery, a w każdym razie na krótko przed jej początkiem.

Kogo napotkali Goci u ujścia Wisły i jak się potoczyły ich dalsze koleje? Pisałem już w poprzednich artykułach („Tajemnice grobów i kurhanów”, „Uplory wstają z grobów”) o kilku istniejących na ten temat teoriach. Jedną z nich głosi, że Goci najechawszy ujście Wisły podbili zamieszkujących Pomorze Słowian-Wenetów.

Ale już historyk K. Tymieniecki każe powątpiewać o tej tradycyjnej zresztą teorii pisząc:

„Nasuwają się jednak pytania, czy Goci, będący jeszcze niemal w politycznych „pieluszkach”, mogli w I lub II wieku n. e. myśleć o roli pewnego rodzaju „herrenvolku” na niezmiernych obszarach słowiańskiego wschodu? Sytuacja ogólna tych ludów, wcale nie zachęca do popierania tak bardzo ryzykownej hipotezy, tym bardziej, że tychże Wenedów

z I w. tenże wielokrotnie cytowany Tacyt charakteryzował wprost w swym słynnym 46 rozdziale „Germanii”, jako ludy wojownicze i niespokojne”.

Również i Ptolomeusz, geograf z II w. umieszcza nad Bałtykiem „potężny lud Wenedów”. Gotów zaś nad Wisłą charakteryzuje jako lud mały. W jaki więc sposób ten mały lud Gotów, stanowiący wobec potężnego ludu słowiańskiego Wenedów wojowniczych i niespokojnych, mógł ich zwyciężyć i sobie podporządkować?

Archeolog łódzki mgr Jerzy Kmiecinski, który od trzech lat bada cmentarzysko gockie w Węsiarach, a od dłuższego czasu interesuje się „sprawą gocką”, posiada już szereg przekonujących, moim zdaniem, dowodów dla przedstawienia zupełnie nowej, a i bardzo odważnej hipotezy.

Goci, którzy najechali dolną Wisłę, wdali się z Wenedami w długą i wyczerpującą obydwie strony walkę. Jaki był jej wynik? Trudno odpowiedzieć. W gruncie rzeczy nie ma żadnych zdecydowanych danych, aby orzec stanowczo, która ze stron okazała się zwycięską. Być może żadna, być może jednak zwyciężyli Słowianie, podporządkowując sobie Gotów w łagodnym przecieź formach patriarchalnego niewolnictwa.

Zapewne do tego faktu odnosi się zdanie z Tacytowej „Germanii”: „Mieszkańcy za Lugiami Gotowie rządzeni są przez królów, i to już nieco surowiej niż reszta ludów germańskich...”

Czy ta forma „surowości” nie wynika z faktu podporządkowania Gotów Słowianom?...

Nie zostali zwycięzcy Goci, bo nie potrafili oni narzucić Słowianom swych obrządków i swej kultury, przeciwnie — to obrządków Gotów zdają się rozpylić w żywioł słowiański. Jedno jest pewne: trwały walki i to bardzo wyczerpujące, co wyraża się w pewnego rodzaju upadku kulturalnym, zarówno przybyłych Gotów, jak i Wenedów. Świadczy o tym fakcie również i dane cyfrowe.

Najeźdźcy gocecy przybyli z prowincji szwedzkiej Västergötland, która w owym czasie prawie całkowicie opróżniła się z ludności. Tymczasem archeologowie zauważają, że na Pomorzu, dokąd przybyli Goci — ludności nie tylko nie przybywa, ale przeciwnie, śladów z osadnictwa jest coraz mniej. O ile z okresu przed najazdem Gotów znanych jest archeologom 118 tzw. „stanowisk”, to z okresu po przybyciu Gotów — tylko 81 stanowisk. Spora część ludności prawdopodobnie wyniszczyła się w długich i ciężkich walkach.

Ilość stanowisk archeologicznych wzrasta natomiast w okresie środkowo-rzymskim — jest ich aż 206. Otóż w tym czasie, gdzieś w połowie II wieku n. e. wydaje się, że przybywa na Pomorze nowa fala Gotów. Tym razem przybywają oni z prowincji Östergötland i z wysp Öland i Götland. Osiedlają się oni na Pomorzu, jak by na no-

wych i raczej pokojowych warunkach. Jak pisze mgr Jerzy Kmiecinski w jednym ze swych artykułów:

„Trudno powiedzieć w jaki sposób układano się współzycie dwóch grup etnicznych w tym drugim rozdziale epopei gockiej na południowym wybrzeżu Bałtyku... Goci nie byli w sytuacji specjalnie korzystnej. Świadczy o tym może fakt, iż cmentarzyska kurhanowe ze stelami, które uważa się za prawie wyłącznie gockie — rozłożone są przeważnie na glebach złych, terenach zwirowatej moreny czołowej i sandrach, w przeciwieństwie do urodzajnych polaci kraju (np. wschodni brzeg dolnej Wisły), zajętych przez żywioł słowiański. Ciekawy jest także fakt, że tereny, na których najczęściej spotyka się cmentarzyska ze stelami, były w okresie lateńskim i wczesno-rzymskim w zasadzie anekumena. (Były niezamieszkałe — przyp. Z. N.). Wydaje się, że stosunki między Gotami i Słowianami w środkowym okresie rzymskim na Pomorzu Wschodnim przypominać będą raczej koegzystencję niż zależność”.

Innymi słowy: na ziemiach najżyźniejszych, w takich powiatach jak Chełmno, Kwidzyn, Malbork, Sztum — w sposób nieprzerwany zamieszkują Słowianie. Obok nich jednak na glebach ubogich lub niezamieszkałych osiedlają się Goci przybyli z Östergötland. Nie są oni chyba zwycięzcami skądś wolać zadowolić się gorszym, ułóżym?

Z tego też czasu odnaleziono baniaste naczyńka dwu lub trzyuszne w wyglądzie trójkami na chropawym brzoścu. Stanowią one jak by skrzyżowanie dwóch elementów kulturowych — miejscowego (słowiańskiego) i gockiego. Podobne „krzyżówki” możliwe są raczej wówczas, gdy dwa różne ludy pozostają w stosunkach pokojowych. ... Z tego samego okresu pochodzą cmentarzyska gockie ze stelami i kurhanami w Węsiarach, gdzie przebywa łódzka ekspedycja wykopaliskowa.

Rozdział VI

„Dmarringarna” i „Thing” — jak wyglądał Goci? — Uczymy się od nich stosunku do kobiet!

Spójrzcie uważnie na to długie zdjęcie. Przedstawia ono fragment węgierskiego cmentarzyska. Widać połowę „kamiennego kręgu” ułożonego z głazów, a poza kręgiem „stela” — długie głazy pokrywające groby. Z prawej strony uwidacznia się kurhan ze stelą. Popracujmy wyobraźnię, spróbujmy ożywić to stare cmentarzysko.

Te „kamienne kręgi” nazywa się w Szwecji „Dmarringarna” czyli kręgami sędziowskimi. W starożytności, a także we wczesnym średniowieczu znany był u ludów germańskich, a zwłaszcza Gotów zwyczaj dokonywania zgromadzeń rodowych lub plemiennych, zwolowanych co pewien określony czas celem odbycia sądu tzw. „Thing”. W tym oto kamiennym kole prawdopodobnie zasiadała rada sędziow-

ska, zaś braci rodowej nie wolno było przekraczać granicy oznaczonej kamieniami. Uchwały rady sędziowskiej poparte były autorytetem zmarłych, których pochowano obok kręgu lub zewnątrz kręgu, bo i takie wypadki są znane archeologom. Być może także w owych kręgach odbywały się i obrzędy religijne związane z rozpowszechnionym wśród Germanów kultem przodków, o czym świadczą znajdowane wewnątrz kręgów fragmenty, prawdopodobnie rytualnie rozbitych naczyń.

Wywodowali Goci ze Skandynawii, wypędzeni być może przedludnictwem i nieurodzajem, ubogą skalistą ziemią. Przebywali na Pomorzu Wschodnim chyba niewiele ponad 200 lat i to w dwóch fazach. Cmentarzysko w Węsiarach, jak stwierdza się na podstawie wyposażenia grobów, powstało w połowie II wieku i trwało około 70 lat. Na początku III wieku przestano tu chować zmarłych w grobach ze stelami. W 214 roku spotkał Gotów cesarz Carakalla — daleko od Węsiar i Pomorza Wschodniego — nad Morzem Czarnym, nad Dunajem. Wynalzy ich stąd chciwość, żądza dostatku i bogactw, napływające wiadomości o leżących daleko na południu bogatych, żyznych krainach. Załadowali na wozy cały swój dobytek, dzieci i żony i osłaniając je zastępami zbrojnych — wyruszyli pod wodzą króla Filimerasa, syna Gandaryka, kierując się ku ziemi zwanej Oium, co oznacza kraj podmokły, zapewne bagna polskie. Przedostawszy się przez bagna i pokonawszy Spalów dotarli nad Morze Czarne, gdzie zaczął się nowy, wspaniały rozdział ich epopei.

* * *

„Obudziłem się zły i przestraszony, z gardłem ściśniętym strachem. Na płótnie namiotu delikatnie szemrał rzadki deszcz. Gdzieś od kurhanów, od cmentarzyska dochodził mnie głuchy jęk. Wyobraźnia pobudzona nie zakończonym jeszcze snem, przywoływała obrazy jakiegoś straszliwego sądu, odbywającego się w kamiennym kręgu wśród kurhanów. Wydało mi się, że wyraźnie widzę owego germańskiego boga Tiusa, jednorekiego męża, trzymającego miecz, którym zwalcza siły ciemności; obok był jednooki Wodan lub Odyn, bóg pioruna i wiatru. Przewodził wędrującym w powietrzu duchom zmarłych, prowadząc je do Walhalli, raju w niedostępnych jaskiniach górskich. Głuchy jęk kojarzył się w wyobraźni z tętentem pędzących Walkiri...”

Wyszedłem z namiotu. I... zrozumiałem. To stary Wilk przeżywał w mnie jakieś swe ciężkie wspomnienia, pojękując w swym namiocie. Rankiem, gdy biegałem nad jezioro, aby się umyć, spłoszyłem dwa dzikie białe łabędzie. Ich ciężkie skrzydła przecinały powietrze ze świstem jak wielki miecz.

MONACO

(Dokończenie ze str. 4)

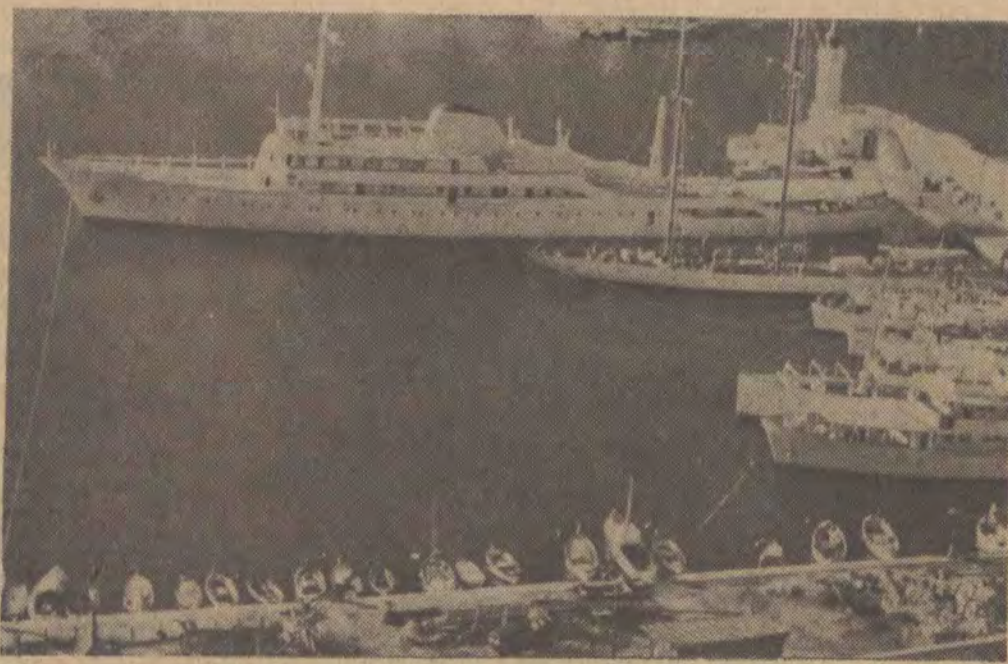
sowych rozrywek, przeznaczonych na sprzedaż. Nie muszę chyba dodawać, że wrażenie to jest dotkliwa szkoła dla naszych pierwszych spostrzeżeń, które potem trzeba raz jeszcze analizować. W każdym razie jedno nie ulega kwestii: białe jacht Onassis działa o trzeźwiająco.

Powyższe zdanie wygląda jak szyfr, więc muszę je wytłumaczyć. Otóż, gdy byłem koło jachtu, przy trapie, mały boy w granatowej liberii, czyścił miotłką wycieraczkę. Ktoś spytał, czy właściciel „Christine” jest w domu.

— O nie, señor Onassis jest w Stanach, załatwia interesy — odpowiedział malec. On nie ma czasu na Monaco, on je ma...

SZYMON LECH

Monaco, lipiec 1938.



W kinie

„UCIECZKA Z SAJGONU”

Kiedy na ekranach kin pojawia się nowy film — wtedy pada nieodmienne pytanie: — czy widziałeś obraz Claira? Oczywiście, zamiast Claira występować może Renoir, Clement, Welles, albo każdy inny znany i ceniony reżyser, względnie ani znany, ani ceniony, a tylko podpisujący film. Dzieje się tak, bo autorem filmu jest przede wszystkim reżyser i niestety — nie ma na to rady. A tymczasem — za plecami reżysera, ukrywa się dosyć często interesująca postać jego „prawej ręki”, czyli drugiego a mniej znanego twórcy, pozostającego w cieniu, niezależnie od opinii jaką cieszyć się będzie film. Piszący te słowa powinien teraz przymrużyć oko i szepnąć, że w rodzimej kinematografii — jak w każdej innej — istnieje ta sama sytuacja, analogiczna nawet w tym szczególe: Oto gdy film staje się sukcesem artystycznym albo kasowym, wówczas ludzie świadomi rzeczy zaczynają się rozglądać, czyje to nazwisko występuje przy pozycji drugiego reżysera. I właśnie Marcel Camus, nim zrealizował swoją „Ucieczkę z Sajgonu” — przez długie lata pełnił owe, mile podejrzewane funkcje, które nie raz — jak wieść niesie — miały wpłynąć na kształt artystyczny dzieła.

„Ucieczka z Sajgonu” jest więc debiutem reżysera, a dojrzałość tego debiutu istotnie zdaje się świadczyć, że Camus — asystent, wydatnie musiał pomagać swoim pryncypałom. Scenariusz Camusa (nie mylić z pisa-

rzem Albertem Camusem!) i Jeana Hougrona na podstawie powieści tego ostatniego dostarczył zresztą dosyć efektownego materiału. Fabuła filmu zaczyna się z dosyć średnią pomysłowością — przyjazdem urzędnika kompanii handlowej — Herciera do Sajgonu. W rezultacie nawarstwiających się wciąż perypetii urzędnik (Laniel Gelin) — zaplątany w aferę przemytniczą o mało nie traci życia i oddaje się pod dobrą wybraną opiekę młodej Wietnamki o dźwięcznym imieniu Anh. Potem, skutkiem nowych komplikacji grono jego antagonistów poszerza się wydatnie, zarówno o partyzantów wietnamskich jak i o francuskie władze kolonialne. Ale — rzecz jasna, nie będę opowiadał treści filmu do końca, bo obraz — jak każdy sensacyjny — wyraźnie tego nie znosi. Wypada jednak pokusić się o próbę oceny rzeczy. Otóż przede wszystkim zauważyć należy że „Ucieczka z Sajgonu” spotykała się dotychczas prawie wyłącznie z superlatywami, począwszy od opinii Jeana Cocteau („film Marcela Camusa jest cudowny”) aż po zdanie francuskich recenzentów. Pozostaje drobne „ale” — zresztą zasygnalizowane mi jeszcze przed obejrzeniem obrazu. Szlachetne wielce postępowanie urzędnika Herciera, pomyslane zostało przez scenarzystów i reżysera z pominięciem tzw. „motywacji psychologicznej”, dzięki czemu wygląda ono cokolwiek nieprawdopodobnie. Należy jednak pamiętać, że rzecz — jak wspominałem — należy do gatunku sensacyjnego. Można więc mówić, o taryfie ulgowej. Można ale nie trzeba, bo film Camusa i tak jest perełką naszego lotnego repertuaru, wartą obejrzenia.

METODY



EKRANIK TAJNIKI HISZPAŃSKIEGO JĘZYKA

Jak wiadomo ogółowi naszych rodaków, interesujących się nowinkami spod znaku X muzy, Brigitte Bardot „kreciła” w Hiszpanii, pod batutą J. Duviiera swój nowy film „Kobieta i pajac”. Otóż, pewnego dnia Bardotka znalazła się wraz ze swym partnerem Antonio Vilar w małej restauracyjce na malowniczym przedmieściu Seville. Licznie zgromadzone młodzieńcze podziw, wpatrywały się w zajądającą „gwiazdę”. — „Pomijając już ich niedyskretną i hałaśliwą — zwróciła się B. B. do swego towarzysza: — Zupełnie nie mogę zrozumieć, dlaczego one na mnie wołają za każdym razem, gdy podnoszę kieliszek do ust”. — One cię weale nie wołają, tylko podziwiają sposób, w jaki ty pijesz”. „Bebe” znaczy bowiem: ona pije — powiedział Vilar.



W OBCYM KRAJU

Jest to film produkcji jugosłowiańskiej, reżysera Jozę Gale. Twórca filmu opowiada o losach kilku żołnierzy włoskich (w czasie ostatniej wojny), którzy unikając Niemców i partyzantów jugosłowiańskich, pragną dostać się do swojej ojczyzny przez opuszczone i nieznaną sobie okolice.

Film zapowiada się interesująco. Jakże wstrząsający może być w swej wymowie obnażony do najdrobniejszych szczegółów obraz, dawniej energicznych żołnierzy, obecnie dezertersów — mających dość wojny; ludzi zdemoralizowanych, głodnych, gnębionych chorobami, stojących na granicy obłądzenia. Twórca filmu nie dostrzegł jednak tych możliwości. Dodał filmowi inne treści, w gruncie rzeczy banalne: niewzruszoną pogardę narodu jugosłowiańskiego wobec wroga, jednocześnie się i miłość wśród ludzi dobrej woli. W efekcie otrzymaliśmy dzieło o zakończeniu niemal ekwilibrycznym, a na pewno naiwniutkim.

Należy powątpiewać również w realność sytuacji. Już po kilku obejrżanych obrazach, nasuwa się pytanie: dlaczego grupa ludzi młodych, dobrze uzbrojonych, znajdujących się w dużym lesie — tak wytrwale głoduje? Niech nawet nie będzie jeleni, ale są ptaki, grzyby, jagody, i wreszcie ślimaki — podobno bardzo smaczne. I dlaczego ci ludzie palą wciąż papierosy, mimo, że nie widąc u nich większych zapasów?

W ten sposób można by wymienił jeszcze wiele naciąganych sytuacji, niekonsekwencji, różnego rodzaju „byków”. A tym samym wykazać, że film jest „puszczołny”; że jest tylko pomysłem, a więc zaledwie materiałem do filmu. Ale materiałem do filmu, jak mi się wydaje, wybitnego. Szkoda, że wszystko skończyło się na zamiarze.

T. Z.

Uwagi przed premierą

„HISTORIA JEDNEGO MYŚLIWCA”

Piszący te słowa ogłosił kiedyś osobliwy dosyć felieton, apelujący o pomoc a skierowany do sfer czytelniczych. Rozeszło się wówczas o interesujące zagadnienie. Otóż po obejrzeniu „Historii jednego myśliwca”, nowego filmu polskiej produkcji — autor niniejszych uwag nabral przekonania, że znajdującą się w tym obrazie wysocedramatyczną scenę (gdy pilot Zarembo o mało nie zostaje złapany przez żandarmów i dopiero dziewczyna, która kładzie się do jego łóżka, ratuje go od złego) — została skądś pożyczona. Ale skąd?

Pamiętałem nawet, jak rzeczona scena wyglądała w swoim pierwotnym, ale nie

pamiętałem, kto ów pierwotnie napisał i kiedy. A więc apel został ogłoszony i... nikt się nie zgłosił po ufundowaną (nawet!) przeze mnie nagrodę, nikt mi nie przypomniał. Aż gołów byłem poddać się i samokrytykę czynić w podejrzeniu, że ów pierwotny powstał w mojej wyobraźni. I dopiero rozmowa z wytrawnym znawcą literatury angielskiej, p. Lechem Budreckim, wyjaśniła zagadkę. Owym pierwotnym moim miłi była lektura naszych lat młodzieńczych, „Szpieg” Bernarda Newmana.

Ten sam autor napisał teraz scenariusz filmu o VI i bohaterskich żołnierzach polskiego podziemia, którzy tę

bombę rozpracowali, podzielili na sztuki i odesłali do Londynu — nim jeszcze zaczęła ona spadać z przestworzy. Cicha wieść niesie, że którąś z ról w tym obrazie odtwarza... dyrekcja sekcji polskiej radia „Wojna Europa”, co może wyglądać jako weale zabawna pointa. Ale nie o to chodzi. Słowem — którąś z kart polskiego bohaterstwa została podchwyciona, jako temat angielskiego filmu. Czyli wracając do „Historii jednego myśliwca” przede wszystkim zanotować trzeba, iż dobrze się stało, że reżyser Hubert Drapella obronił temat przed zakusami konkurencji. Ale nie bardzo było czego bronić. Angliki, jak wiadomo, nie lubią doceniać osiągnięć polskiego lotnictwa i wszelką przesadą w tym względzie, a więc i kręcenie filmów — jest im na ogół obca.

Jednakowoż, mimo całego uznania — odnotować trzeba i pretensje pod adresem reżysera, Hubert Drapella wzgardził w sposób widomy schematami filmów lotniczych typu „Mściwego jastrzębia”,

choć nie wzgardził niektórymi, wzorowanymi na tym filmie kadrami. Schemat np. „Jastrzębia”, to bezpretensjonalna pod względem fabularnym historia, będąca luźnym spłotem bitewnych epizodów, których wzajemny związek umotywowany był dosyć przypadkowo. Za to w filmie Drapelli zastosowany został scenariusz mający swój wyraźnie zaznaczony początek i zakończenie. Ale obok występuje jeszcze zapobiegliwa konstrukcja faktów, zbyt efektowna filmowo, żeby mogła być przekonywująco prawdziwa. Cóż więc z tego, że cała technologiczna strona rzeczy, a więc wszelkie konsultacje (pomijając klepskie makiety) opracowana została starannie, gdy dobór zbyt wymyślonych faktów udaremnił imprezie powodzenie?

Daje się tutaj zaobserwować częste zresztą zjawisko: historia — powiedzmy — mogąca zaistnieć naprawdę, w swoim kształcie filmowym jest nie do przyjęcia, mimo całego kredytu, jakim się cieszy u nas Hubert Drapella,

utalentowany reżyser (debiut) i jego scenarzysta, wybitny znawca tematu, Stanisław Skalski. Poza nieprawdopodobieństwami fabuły filmu, deklaracyjnościami i szeregiem montażowych komplikacji — zaważył na „Historii jednego myśliwca” brak klimatu. I to brak przynajmniej dwójki!

1) Między zdjęciami świetnego operatora (Karol Chodura) a archiwalnymi materiałami angielskich kronik wojennych (kontratypy „ni kak” nie łączą się ze zdjęciami dokonywanymi przez ekipę). Zresztą realizatorzy sami w tym zakresie ukręcili powrót na swoją szyć, przygotowując sceny, których zanotować filmowo (w sposób zadowalający) nie sposób. Choćby portret spadającego na spadochronie lotnika itp.

2) Między poszczególnymi ogniwami opowiadania, chociaż jak wspominałem — scenariusz celował w związek i logiczne zamknięcie dramaturgii. W rezultacie „Historia jednego myśliwca”, to film ani dokumen-



talny ani psychologiczny, akcenty obyczajowe nie ujawniają w nim swojej obecności, a ładunek prawdopodobieństwa jest mierny. Słowem, nie powstało niestety dzieło, a tylko mało odkrywczy filmik przygodowo-sensacyjny, który zdola zainteresować młodzież — bądżmy szczerzy — chyba nie zaplanowanego uprzednio a-dresata.

Powiedzieć można, iż lot twórców okazał się za niski.

EDWARD ETLEK